

**Opowieści mojej
żony**

Tales of my Wife

by Mirosław Żuławski

CD/Website Version

and glossary

prepared by Oscar E. Swan

University of Pittsburgh

Note: at present these stories are published without the glossary

INTRODUCTION

Opowieści mojej żony (Tales of my Wife) by Mirosław Żuławski (1913-1995) comprises a collection of anecdotal short stories, based on events taken from family history, as if told by the narrator's wife before a group of family and close friends. Often amusing, and of a philosophical bent, many of the stories contain surprise morals. Many of the tales arise out of nostalgia for the past, or are based on amusing, instructive, or ironic juxtapositions between past and present customs. While touching occasionally on unhappy periods in 20th-century Polish history, the overall tone of the stories is optimistic, testifying to the continuity of life and the resilience of the individual in the face of life's adversities and unpredictabilities.

This collection of glossed short stories is intended for supplementary use in Polish classes at any college level beyond the first year. The wide-ranging settings and correspondingly rich vocabulary, especially on the domestic side of life, combined with the matter-of-fact style of narration, make these stories especially suitable for introducing students to the written variant of contemporary Polish. Occasional archaisms or intrusions of Eastern Polish vocabulary or phraseology merely add to the stories' charm. The stories can be retold, analyzed, and discussed at various levels of linguistic and intellectual sophistication, whether orally or in written compositions. Due to their comparative brevity (all stories are about seven pages in length), individual stories can be covered in one or two class periods.

In the glossary, I have attempted to include all words which occur in the text. A base vocabulary of around 1500 words (**A Polish Lexical Minimum**, available separately elsewhere on this website), which one may expect the intermediate student of Polish to know, is incorporated into the master glossary in advance. All words not occurring in the base vocabulary are glossed the first time they appear in the text, on the facing page. Glossed words are indicated by dotted underlining. If a word occurs a second time, it is not glossed, but will be found together with all words in the master glossary. Little by little, as one goes through the book, the number of words needing to be glossed on

each page decreases, reflecting, ideally, a corresponding mastery of Polish vocabulary on the part of the student. The reader who goes through these stories carefully and conscientiously, and makes the effort to learn the more useful vocabulary as it occurs, will be able by the end of the book to approach Polish literary works with confidence, and with only the occasional need to rely on a dictionary. All in all, the mater glossary at the end of this book contains around 5000 entries and, in and of itself, comprises a quite useful minimal dictionary of contemporary Polish.

MIROŚLAW ŻUŁAWSKI

Mirosław Żuławski (1913-1995), possibly best known today as the father of the French film director Andrzej Żuławski (who generously gave his permission for the reproduction of these stories) spanned, in his various activities as writer, diplomat, and publicist, most of the twentieth century. Educated in law and diplomacy in Lwów (Lviv) in today's Western Ukraine, the elder Żuławski had his literary debut in 1934 in Lwów as a poet. During the Second World War he was a member of the Home Army and was active in the underground cultural resistance and as a war correspondent.

During the periods 1945-1952 and 1957-1978 M. Żuławski held the positions of Polish delegate to UNESCO in Paris and of ambassador to Senegal and Mali. During 1952-1957 he was editor of *Przegląd Kulturalny* (Cultural Review) in Warsaw. Among his literary works are the short-story collections *Ostatnia Europa* (The Last Europe) 1947, *Psia gwiazda* (Dog Star) 1965, *Opowieści mojej żony* (Tales of My Wife) 1970, and the novel *Rzeka czerwona* (Red River) 1953.

BILET

Zastanawialiśmy się nad rolą nonsensu w życiu człowieka i wtedy moja żona powiedziała:

— Nonsens wcale nie jest takim nonsensem, jakby się zdawało. Jeśli się bliżej przypatrzeć, to nonsens jest prawie zawsze nieuniknionym wynikiem działania okoliczności pełnych sensu i rezultatem całkowicie uzasadnionym.

Zaprotestowaliśmy. Każdy wie, że nonsens to coś, co nie ma sensu.

Moja żona uśmiechnęła się tylko. Tak uśmiechają się ludzie pełni tajemnej wiedzy o rzeczach, o których inni nie mają pojęcia. Moja żona zna się na ziołach, kwiatach, dzieciach i snach, co mnie zawsze trochę przeraża.

— Posłuchajcie — powiedziała. — Chcę wam opowiedzieć zdarzenie, które wydarzyło się bardzo dawno, kiedy mnie jeszcze na świecie nie było, ale które przez to wcale nie jest nieprawdziwe. Pozwoli wam to zrozumieć głęboki sens nonsensu. Chcecie, żebym je opowiedziała?

— Chcemy — powiedzieliśmy chórem, bo i tak nie było nic innego do zrobienia tego deszczowego przedpołudnia. Padało już drugi dzień i zapowiadało się na dobrą trzydniówkę, mieliśmy więc przed sobą masę czasu do zabicia.

Moja żona jest pełna moralnych tradycji rodzinnych, sięgających do siódmego pokolenia, nie wiem, skąd w niej się to bierze, ale wiem, że tak jest, więc byłem pewien, że zaraz zaczerpnie z nich, jak ze studni. Tak też się stało. Co nie jest wcale dowodem na to, że ją znam dobrze, lecz raczej, że nie znam jej wcale. Cóż bowiem z tego, że wiem, co za chwilę powie albo uczyni, skoro nie wiem, skąd się w niej bierze to, co w niej jest.

— Moja babka — mówiła moja żona — była za młodu nauczycielką i uczyła we wsi, która nazywała się Czyszki. Ale mieszkała w mieście i codziennie dojeżdżała do tych Czyszek pociągiem. Był to taki pociąg, który włókł się niemiłosiernie, więc podróż w każdą stronę trwała prawie dwie godziny, choć z miasta nie było wcale daleko do tych Czyszek. Moja babka musiała więc wstawać codziennie o piątej rano, a kiedy wracała, był już wieczór i była taka zmęczona, że poza położeniem się spać nic jej nie było w głowie. Mojej babce groziło więc staropanieństwo, co byłoby zresztą rzeczą zupełnie normalną, zważywszy tryb życia, jaki prowadziła, i okoliczność, że była jedyną nauczycielką uczącą w tej wiejskiej szkole. Ale moja babka lubiła czytać do poduszki romanse i taka perspektywa wcale się jej nie uśmiechała. Naczytawszy się romansów, marzyła więc w pociągu o królewiczu z bajki. Ale do pociągu wsiadali zawsze ci sami ludzie, którzy w niczym nie przypominali królewicza z bajki, tylko pachnieli kiełbasą i czosnkiem, capem albo

piwem. Moja babka miała bardzo wrażliwe powonienie, odziedziczyłam to po niej, toteż cierpiała niewymownie. Proszę zważyć, że pociąg był praktycznie jedynym miejscem, gdzie — przynajmniej teoretycznie — miała szanse spotkania mężczyzny ze swoich marzeń. Jeśli kogoś z państwa razi powyższe użycie przymiotników, to niech będzie łaskaw pamiętać, że przez cały czas chodzi mi wyłącznie o wykazanie zgodności teorii z praktyką.

Moja żona przerwała, zapaliła papierosa, z tych najdłuższych, strzepnęła popiół, który jeszcze nie zdążył się uformować, i ciągnęła dalej:

— No i oczywiście królewicz się zjawił, bo inaczej nie miałabym o czym opowiadać. Był to młody, elegancki i bardzo przystojny mężczyzna, miał białą chusteczkę w kieszonce i pachniał przyjemnie lawendą. Musiał mieć jeszcze zakręcone w górę wąsiki, laskę, rękawiczki, sztywny, wykładany kołnierzyk, getry i melonik. Wyborążam sobie, że tak właśnie wyglądał w owych czasach typowy królewicz z bajki.

Wydaliśmy zgodny pomruk potakiwania, po czym moja żona ciągnęła dalej:

— Ów młody człowiek wszedł do przedziału, w którym siedziała tylko moja babka, uchylił grzecznie melonika, spytał "czy pani pozwoli?" i nie czekając na odpowiedź zajął miejsce naprzeciw mojej babki, przy oknie. Moja babka spojrzała na niego i poczuła, że nagle robi jej się gorąco, potem zimno, że oblewa się na przemian rumieńcem i bladością, że pragnęłaby się pod

ziemię zapaść, a równocześnie nie zamieniłaby miejsca w tym przedziale na żadne miejsce na świecie, że umarłaby gdyby ten człowiek dotknął jej ręki lub zwrócił się do niej jakimś słowem, że umarłaby też, gdyby tego nie uczynił, jednym słowem, moja babka zdradzała kliniczne objawy miłości od pierwszego wejrzenia, "un coup de foudre", ten albo żaden. Młodzieniec zachował się dyskretnie, ale też gapił się w nią jak sroka w kość i widać było, że także opuściła go wszelka pewność siebie i towarzyska swoboda, które to cechy niewątpliwie dotychczas przejawiał. Babka moja, kiedy ją poznałam, miała ciągle jeszcze bardzo piękne włosy i oczy, więc wtedy w pociągu musiała mieć jeszcze piękniejsze.

Moja żona przerwała i zamyśliła się na chwilę, a my wszyscy widzieliśmy w duszy ten przedział, oboje młodych, pociąg pełen niegdysiejszych ludzi, jadących w czasach, które już minęły.

— Siedzieli tak i milczeli, niezdolni do przedsięwzięcia czegokolwiek, bo od razu wytworzyła się między nimi ta napięta sytuacja, która powstaje wtedy, kiedy dwoje ludzi zbyt mocno myśli o tym samym. Pociąg jechał i czas mijał, moja babka pomyślała z przestрахem, że ta podróż do Cyszek trwa tak króciutko, choć dotychczas wydawało się jej zawsze, że trwa okropnie długo, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że pociąg poruszając się niezdarnie w przestrzeni porusza się błyskawicznie w czasie, w tym jedynym czasie, który jest jej dany jeden jedyny raz i

pewnie już nigdy więcej. Zebrała w sobie całą odwagę, jaką daje rozpacz, i zapytała:

"Przepraszam pana, która godzina?"

Mężczyzna sięgnął do kieszonki w kamizelce, wydobył z niej zegarek na złotym łańcuszku, nacisnął sprężynkę uruchamiającą wieczko i powiedział:

"Wpół do siódmej, proszę łaskawej pani."

"Dziękuję panu" — powiedziała moja babka.

Ośmielony zapytał, czy ona jedzie daleko? Serce w niej zatrzepotało, więc powiedziała, że daleko. Wtedy on powiedział, że wysiada na najbliższej stacji, a moja babka spojrzała na niego z takim błaganiem, że musiał coś wreszcie zrozumieć, bo zaczął nagle mówić bardzo szybko, że tak mu było miło, że chciałby jej posłać kartkę na pamiątkę tej wspólnej podróży, czy nie gniewałaby się, gdyby ją poprosił o adres, bez adresu nie mógłby jej wysłać kartki z podziękowaniem za dotrzymanie towarzystwa.

Moja babka podała mu adres. Nie miał przy sobie notesu i zapisał go starannie na bilecie kolejowym.

Babce ze szczęścia serce waliło coraz mocniej. Wiedziała, że już się nie zgubią, że potrafi ją odnaleźć, że przynajmniej napisze. Czuła, że ze wszystkich mężczyzn na świecie ten jeden jest jej przeznaczony. Wiedziała, że się nie myli, że nie może się mylić. Patrzyła za nim już jawnie zakochanymi oczyma, kiedy wysiadał z wagonu i udawał się w stronę stacji. Patrzyła za nim już z tęsknotą i wtedy zobaczyła, że odwraca się, dostrzega ją, uchyla melonika, rzuca jej

gorące spojrzenie, a równocześnie sięga w roztargnieniu do kieszonki kamizelki i oddaje bilet kontrolerowi u wyjścia. Jedyne znamię rozpoznawcze, po którym mógł ją odnaleźć!

Moja żona przerwała i wyglądało na to, że na tym się skończy jej opowieść.

— Ale — spytaliśmy — co to ma do sprawy nonsensu?

— Jak to? — zapytała moja żona. — Jak to co? Przecież to wszystko jest na pozór nonsensem, a naprawdę ma zupełny sens. To był nonsens, że moja babka widziała w nim królewicza z bajki i zakochała się od pierwszego wejrzenia. To był nonsens, że w pierwszym jako tako wyglądającym podróżnym ulokowała swe nadzieje. To był nonsens, że on oddał bilet, na którym zapisał jej adres. Cała ta historia jest jednym nonsensem. A jednak...

Podeszła do półek i wzięła z nich album ze starymi fotografiami.

— Popatrzcie — powiedziała — to ten młodzieniec z pociągu.

Pokazała nam fotografię starego, łysego pana o pocziwym wyglądzie.

— To on właśnie był moim dziadkiem — powiedziała moja żona. — Ale to jest zupełnie inna historia. Może kiedyś ją wam opowiem.

TOPKA SOLI ALBO GŁOWA CUKRU

Przebieraliśmy uzbierane rano grzyby. Jedne przeznaczone być miały na marynaty, inne do suszenia. I wtedy ktoś zaczął wspominać dawne czasy, kiedy gospodarstwo domowe nie było tym, czym jest dzisiaj, tylko całą fabryką, w której wyrabiano się masę różnych konfitur, powideł, soków, suszonych śliwek nawleczonych na patyczki i posypanych kminkiem, kandyzowanych gruszek i smażonych w cukrze ogórków. Więc zaczęliśmy się licytować jedno przez drugie, każdy starał się dorzucić do tej litanii coś, czego jeszcze nie było, wreszcie ktoś przypomniał, że do tych celów kupowało się wówczas cukier w postaci wielkiego stożka, co nazywało się głową cukru. Tak się mówiło: "Proszę o topkę soli", bo i sól kuchenna była pakowana w stożkowate, papierowe woreczki.

— Nie mówcie o głowach cukru ani o topkach soli — powiedziała wtedy moja żona — bo to mi przypomina pewnego młodego człowieka, którego widok wzbudził we mnie uczucie litości. Jeszcze teraz dreszcz mnie przenika, kiedy przez to wasze gadanie muszę myśleć o tym okropnym przypadku.

Przebieranie grzybów zapowiadało się jeszcze na długo, bo zbiór tego dnia był udany, więc poczęliśmy się domagać, żeby opowiedziała. Moja żona przygotowała igły i nici do nawlekania pokrajanych grzybów i zaczęła tak:

— Było to już dawno, jeszcze wtedy, kiedy mieszkaliśmy w Paryżu. Mieliśmy wielu znajomych i bywaliśmy często, nie tak jak dziś, ale najbardziej lubiliśmy chodzić w niedzielę do znajomego etnologa w Pałacu Chaillot, u którego zawsze spotkać można było bardzo ciekawych ludzi. Ten etnolog z niewiadomych powodów niezmiernie lubił mojego męża, który, jak wiadomo, odznacza się brakiem jakichkolwiek zalet towarzyskich.

Mruknałem coś protestującego, ale moja żona machnęła tylko ręką i ciągnęła dalej:

— Otóż ten etnolog prowadził dom otwarty dla każdego, kto miał ochotę przyjść, w każdą niedzielę od czwartej do szóstej. Z tarasu jego mieszkania miało się bardzo piękny widok na Paryż. Ale tym widokiem można się było sycić tylko wtedy, kiedy się przyszło przed innymi gośćmi, bo później patrzyło się już tylko na rozmaitych ludzi, których widok był jeszcze ciekawszy. Jeśli o mnie chodzi, to ludzie są ciekawszy od wszelkich widoków, krajobrazów i przedmiotów.

— Zgadza się — powiedziałem. -W Taorminie cały czas patrzyłaś na jakiegoś karzełka zamiast na Etnę.

— Karzełek miał trzydzieści osiem centymetrów wzrostu, a Etnę już widziałam przedtem na obrazku — powiedziała moja żona i mówiła dalej:

— Pewnej niedzieli zastaliśmy tam młodzieńca, który natychmiast zwrócił moją uwagę do tego stopnia, że już do końca wieczoru nie byłam w stanie

zainteresować się nikim innym. Młodzieniec ów był smukły, dobrze ubrany i wyrażał się inteligentnie o wszystkim, na co tylko rozmowa schodziła. Ale nie to przykuło moją uwagę, bo młodzieńców zgrabnych, eleganckich i wymownych spotkałam już wielu, a żadnego z nich nie zgodziłabym się oddać za żonę własnej córki, gdybym ją miała. To, co przykuło moją uwagę, to była jego głowa, która miała kształt topki soli albo, jeśli wolicie, głowy cukru. Była wysoka, idealnie stożkowata i zakończona szpicem, na którym rosła mała kępka włosów. Nigdy nie widziałam niczego podobnego i nawet nie przypuszczałam, że ktoś może mieć podobną głowę. Głowy ludzkie są różne, okrągłe, owalne, jajowate, kwadratowe, prostokątne, romboidalne, płaskie, spiczaste, ale żeby głowa ludzka przypominała do złudzenia głowę cukru albo topkę soli! Tego się doprawdy nie spodziewałam.

Moja żona przerwała, uchyliła okularów i spojrzała po nas, jakby chciała sprawdzić, czy podzielamy jej zdumienie. Oględziny musiały wypaść pomyślnie, bo zaraz ciągnęła dalej:

— Z rozmowy prowadzonej z młodzieńcem niewiele się zdołałam dowiedzieć poza okolicznością, że jest kawalerem i ma niejaki trudności w znalezieniu partnerki. Domyślałam się, że to przez tę głowę, ale nie mogłam go przecież zapytać, skąd, na litość boską, wziął taką głowę, choć umierałam z ciekawości. Postanowiłam jednak nie odejść dopóty, dopóki nie rozwiążę tej zagadki, a kiedy już wszyscy goście poszli,

zagadnęłam naszego gospodarza. Usiadł ze mną na kozetce i oto co mi opowiedział: Młodzieniec o głowie w kształcie topki soli był synem jego przyjaciela, też etnografa, zmarłego przed kilku laty na japońskie zapalenie mózgu, którego się nabawił na Borneo. W latach trzydziestych nasz gospodarz odbył z przyjacielem oraz jego żoną, też etnografką, długą wyprawę w górne dorzecze Amazonki. Nieszczęśliwe okoliczności sprawiły, że wyprawa nie zakończyła się w przywidzwanym terminie i tak się stało, że żona przyjaciela naszego gospodarza zamiast w dobrej klinice, zaczęła rodzić w obozowisku w dżungli. Mężczyźni, jak zwykle w takich wypadkach, stracili głowy i zdawało im się, że kobieta umiera. Wsiedli obaj w łódź i powiosłowali ciemną nocą po felczera, który leczył trachomę w dość odległej osadzie. Rodzącą zostawili pod opieką dwóch służących Indian, których po jakimś czasie krzyki kobiety przejęły takim strachem, że pobiegli do najbliższej osady i sprowadzili całą gromadę starych Indianek. Pani etnografowej urodził się szczęśliwie zdrowy chłopak, ale zanim obaj profesorowie wrócili z felczerelem, Indianki ze szczepu Karaja zdążyły miejscowym zwyczajem wyklepać deszczułkami głowę noworodka w kształt topki soli albo, jeśli wolicie, głowy cukru i utrwalić ją przy pomocy założenia łupek.

Moja żona przerwała i tym razem nawet nie sprawdzała, czy opowiadanie wywarło na nas wrażenie, jakiego oczekiwała. Milczeliśmy, bo dla

każdego z nas ten młodzieniec o dziwnej czaszce wyłaniał się z otchłani czasu i mrocznych głębin sprzed cywilizacji. Żył gdzieś wśród nas, ale przychodził z bardzo daleka.

— Zważcie — powiedziała moja żona — że młodzieniec o czaszce w kształcie topki soli byłby ideałem męskiej urody, gdyby został pośród plemienia, którego kobiety przyjęły go od rodzącej. Stare Indianki bardzo były zadowolone ze swego dzieła. Prawdopodobnie zachowując taką głowę, jaką mu dał Pan Bóg, nie mógłby znaleźć żony w tym plemieniu, które zresztą wyginęło, zdaje się, na ospę, wskutek czego ten młodzieniec został być może jedynym na świecie nosicielem głowy wyklepanej deszczułkami w kształt topki soli i cały jego dylemat pochodzi tylko stąd, że stale znajdował się w nieodpowiednim czasie i nieodpowiednim miejscu. Ale uczeni twierdzą, że właśnie to pomieszanie czasów jest bezcenne, bo pozwala na dochodzenie, przez badanie pierwotnych mitów, do zrozumienia, jak funkcjonuje umysł współczesnego człowieka, i właśnie istnienie tych pierwotnych Indian pozwala badać struktury umysłu ludzkiego i stąd właśnie bierze się ten cały strukturalizm, o którym tyle się teraz pisze, a który wywodzi się z badań nad powstawaniem cywilizacji, od surowego do gotowanego, od miodu do tytoniu, jednym słowem od natury do kultury. W takim razie ci Indianie byli już na etapie kultury, jako że starali się zmienić kształt głowy, jakim człowieka obdarzyła

natura, a który być może wcale nie jest tak doskonały, jak nam się wydaje. Dlatego ta historia jest o wiele bardziej pouczająca, niż można by sądzić.

— No, a potem? — zapytała któraś z pań. — Widywałaś go jeszcze potem?

— Tak jest — powiedziała moja żona — bo był to bardzo miły i udany chłopiec, robił doktorat z fizyki nuklearnej. W końcu znalazłam mu żonę.

Wpięła igłę w fartuszek.

— Ale to już zupełnie inna historia. Skończyliśmy na dziś z grzybkami. Może ją wam kiedyś opowiem.

ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Mówiliśmy o zbiegu okoliczności w świetle światopoglądu naukowego i wtedy moja żona powiedziała:

— Byłam świadkiem wielu szczególnych zbiegów okoliczności, ale nie tego, o którym chcę wam opowiedzieć. Waham się nawet, czy to uczynić, bo wszystko, o czym wam opowiadam, wydarzyło się naprawdę.

Ale wszyscy chcieli usłyszeć o tym wydarzeniu, więc moja żona przerwała stawianie pasjansa, który nie wychodzi jej nigdy, i zaczęła tak:

— Jest to właściwie dalszy ciąg historii, którą wam kiedyś opowiadałam. Pamiętacie, jak moja babka poznała w pociągu mojego dziadka i jak się jeszcze rozstali bez nadziei na to, że spotkają się jeszcze kiedykolwiek? No więc właśnie! Teraz sobie przypominam, że nawet wam obiecałam opowiedzieć, co było potem.

Wszyscy przytaknęli, więc moja żona mówiła dalej:

— Otóż mój dziadek jeździł dość często do różnych miast i miasteczek Namiestnictwa w związku z funkcjami praktykanta sądowego, jakie wówczas sprawował. Dawnego dnia wypadło mu wybrać się do Sambora nocnym pociągiem. Tak już się składa, że pociąg odgrywał ważną rolę w łańcuchu przyczyn i

skutków, jakie złożyły się na to, że mój dziadek i moja babka poznali się i pobrali, a co za tym idzie, że jestem na świecie, a w każdym razie, że jestem taka, jaka jestem, co ma dla mnie zasadnicze znaczenie, bo za żadne skarby na świecie nie chciałabym być inna, niż jestem. Myślę, że nie było to przypadkiem, bo kolej żelazna właśnie wtedy zaczynała odgrywać ważną rolę w życiu naszego kraju, zarówno społecznym, jak poszczególnych ludzi. Dziadek mój był młodzieńcem nie tylko przystojnym i wytwornym, lecz również towarzyskim i wesołym. Słyszałam, jak moja babka mawiała o nim z pobłażaniem, że jak każdy mężczyzna lubi sobie pociągnąć.

— Owego wieczora musiał więc sobie pociągnąć w miłym towarzystwie, bo kiedy tylko wsiadł do pociągu, poczuł senność. Podróżnych było niewielu, więc kto tylko miał ochotę, układał się wygodnie z płaszczem pod głową. Mój dziadek uczynił to samo, ale pamiętając, że ma sen twardy, zwłaszcza nad ranem, dał "ryńskiego" konduktorowi, prosząc, by obudził go w Samborze. Mój dziadek, mimo młodego wieku, znał już siebie dość dobrze, więc uprzedził konduktora, że będzie mu się opierał, że będzie się z nim bił, że będzie mu wymyślał, a nawet groził, że będzie go błagał i zaklinał, bo sen ma taki twardy, ale żeby konduktor nic sobie z tego nie robił, tylko wyrzucił go wraz z walizką na peron, skoro tylko pociąg zatrzyma się w Samborze. Konduktor wziął "ryńskiego" i przyrzekł zrobić, jak mój dziadek sobie życzył. Mój dziadek

ułożył się więc z czystym sumieniem jak najwygodniej i natychmiast zasnął. Kiedy się przebudził, pociąg stał sobie najspokojniej na dworcu w Przemyślu, co oznaczało, że mój dziadek przespał całą noc i nie wysiadł w Samborze. Na widok mojego dziadka konduktor nie posiadał się zdumienia:

"No, popatrz pan — powiedział — a on tak mnie prosił, tak mnie prosił, tak mnie zaklinał, tak mi się opierał, żebym go nie wyrzucił z pociągu! Bił się ze mną, wymyślał mi, groził, że mnie zniszczy, a ja nic, tylko spokojnie tak, jak pan sobie życzył!"

Moja żona przerwała, bo należała jej się mała chwila odpoczynku, a my wszyscy myśleliśmy nie o jej dziadku, tylko o tym jegomościu, którego konduktor wyrzucił siłą w środku nocy z pociągu na stacji w Samborze i o którym nigdy się już niczego nie dowiemy.

— No cóż — mówiła dalej moja żona. — Co się stało, to się stało i mój dziadek musiał pozostać w Przemyślu do najbliższego pociągu do Sambora. Proszę pamiętać, że w owych czasach pociągi nie chodziły tak często, jak obecnie i że taka pomyłka oznaczała najczęściej stratę całego dnia. Ale mój dziadek odznaczał się od najmłodszych lat poczuciem humoru, toteż przyjął tę całą sprawę o wiele lżej, niż można by przypuszczać. Skoro już znalazł się wbrew swej woli w Przemyślu, postanowił wykorzystać ten przypadek w sposób jak najprzyjemniejszy. Zostawił walizkę w przechowalni i udał się na miasto, Przemyśl był zawsze

miastem biskupim i garnizonowym, a w owych czasach był bardziej biskupi i garnizonowy niż kiedykolwiek. Spotykało się w nim przede wszystkim osoby umundurowane w najrozmaitszy sposób: żołnierzy i oficerów, kawalerzystów z Zasania i artylerzystów z fortów, urzędników i studentów, księży i seminarzystów, zakonnice i pensjonarki. Była właśnie niedziela i wszędzie można było zobaczyć umundurowane oddziały wymienionych kategorii, maszerujące do kościoła lub z kościoła. Jeśli ktoś z was był kiedyś w Przemyślu, musiał zauważyć niezwykłą malowniczość tego miasta. Mój dziadek też nie był obojętny na jego piękno i chodził w górę i w dół, od Sanu do Zamku i z powrotem tak długo, aż się zmęczył. Wtedy przysiadł na ławeczce w parku, nieopodal miejsca, gdzie gimnazjaliści w mundurkach grali w kiczki. Mój dziadek był w latach szkolnych wybornym graczem w kiczki, więc wkrótce nie wytrzymał i dopiero pokazał gimnazjalistom, jak się gra w kiczki. Wygrywał wszystkie partie.

— Potem dziadek poszedł na piwo, bo był bardzo spragniony, i wypił go dosyć dużo. Wkrótce poczuł, że samotność zaczyna mu ciążyć i zapragnął życia towarzyskiego. Ruszył więc przed siebie w nadziei, że może spotka kogoś znajomego albo kogoś, z kim będzie mógł się zaznajomić. Południe minęło i na ulicach nie było już maszerujących oddziałów przybranych w różne mundury, za to pełno było przechadzających się ze sobą par, w mundurach lub

bez. Ale dziadek mój nadaremnie wypatrywał wśród nich kogoś znajomego, jako że nikogo w Przemyśle nie znał. Czuł się coraz samotniej, zwłaszcza że do pociągu miał jeszcze dużo czasu. Dla człowieka młodego, wesołego i z natury towarzyskiego taka samotność jest najgorszą rzeczą, jaką sobie w ogóle można wyobrazić. W dodatku niebawem zaczęło się zmierzchać, co już samo przez się potęguje uczucie osamotnienia, zwłaszcza u ludzi wrażliwych na zmiany pogody, pór roku i dnia. Na ulicy pojawił się stróż miejski i zaczął zapalać gazowe latarnie, jedną po drugiej, a za oknami mieszkań poczęły rozbłyскиwać lampy naftowe, co tworzyło atmosferę intymności i ciepła, nie znaną w naszych mieszkaniach, oświetlanych elektrycznością. Dziadek mój nie różnił się niczym od ogółu mężczyzn, którzy, jak wiadomo, kiedy chodzą samotnie po ulicach i zaglądnają do wnętrza mieszkań, chcieliby mieć też takie ciepłe mieszkanko z żoną i lampą w środku, a kiedy już je mają, myślą tylko o tym, jak znaleźć się znów samotnie na ulicy. Zgodnie tedy z prawami swego wieku, stanu i płci dziadek mój zatusknił za życiową stabilizacją i rodzinnym ciepłem. Nie trwało to wprawdzie długo, ale mimo to warte jest odnotowania, oznacza bowiem, że dziadek mój miewał chwile słabości, których moja babka niewątpliwie nie omieszkała wykorzystać, skoro w końcu się pobrali i mieli dużo dzieci, mimo że na co dzień dziadek mój przyrzekał sobie niezłomnie dochować wierności kawalerskiemu stanowi. Ale nie mogło tak być, bo

kobiety, w odróżnieniu od mężczyzn, są uparte, wytrwałe i wiedzą, czego chcą.

Teraz żona przerwała i powiodła spojrzeniem po męskiej części towarzystwa, czekając, czy nie podniesie się jakiś głos, ale nie podniósł się żaden, więc moja żona mogła mówić dalej:

— Wtedy to błądzący po oknach, za którymi zapalały się lampy, wzrok mojego dziadka padł przypadkiem na emaliowaną tabliczkę z numerem domu i nazwą ulicy. Było na niej napisane jak byk: "ul. Franciszka Józefa 34". Mój dziadek przypomniał sobie w mgnieniu oka, że pod tym właśnie adresem mieszka jego bliski kolega z wojska, którego nie widział od dawna, a któremu przyrzekł odwiedziny. Z radością w sercu zakołatał więc do drzwi sporego, parterowego domu. Otworzyli mu jacyś obcy ludzie, ale zanim zdołał wybąkać cokolwiek na swoje usprawiedliwienie, zobaczył otwierające się w głębi mieszkania drzwi i moją babkę — to jest tę swoją znajomą z pociągu, której adres w tak głupi sposób stracił — stojącą w progu z naftową lampą w ręku.

— Niesłychane! — powiedział ktoś, jako że w takich momentach zawsze się coś takiego mówi.

— Ale zupełnie logiczne — odparła moja żona. — Mój dziadek miał rzeczywiście przyjaciela z wojska, który mieszkał przy ulicy Franciszka Józefa pod numerem 34, tylko że nie w Przemyślu, lecz w Samborze. Natomiast pod tym samym adresem w Przemyślu mieszkała na stacji u przyzwoitej rodziny

moja babka. Jak widzicie więc, trzeba było zbiegu aż kilku niezwykłych i kilku zwykłych okoliczności, żeby moi dziadkowie mogli się spotkać po raz drugi. Takie rzeczy można sobie tłumaczyć w dwojaki sposób. Pierwszy polega na założeniu, że wszystko jest nam z góry pisane i przeznaczone. Ma tę zaletę, że jest prosty, dostępny i nadaje się do każdego przypadku. Ma tę wadę, że nie odpowiada światopoglądowi naukowemu, o co nam przecież chodzi. Światopogląd naukowy tłumaczy nam takie rzeczy prawem liczb wielkich i rachunkiem prawdopodobieństwa, co jest wcale nie lepsze, bo wynikałoby z tego, że na istnienie każdego z nas złożyć się musiały tysiące przypadków i zbiegów okoliczności, nieraz zupełnie bezsensownych i takich, które wcale nie powinny były się zdarzyć. Jeśli tak jest, to nie ma powodu do takiego znowu zadowolenia z siebie, jakie przejawiają niektóre, nie wskazując palcem, osoby.

Nie odezwałem się i postanowiłem myśleć o kosałkach- opałkach, a moja żona powiedziała:

— Jest to dalszy ciąg historii, którą wam obiecałam, ale bynajmniej nie jej koniec. Jeśli myślicie, że wszystko tym razem poszło gładko, to się mylicie. Wydarzyło się bowiem jeszcze wiele dziwnych rzeczy, o których wam może kiedyś opowiem.

ŚWINIOBICIE

Zauważyliście — powiedziała moja żona — że są ludzie, których stale spotykają różne wydarzenia, ale są i tacy, którym nigdy nic się nie przydarza. Na przykład mojemu mężowi nie zdarza się nigdy nic i kiedy wraca, powiedzmy, z Afryki Środkowej, to ja mam mu o wiele więcej do powiedzenia o tym, co wydarzyło się w domu, niż on mnie na temat tego, co przytrafiło mu się w podróży, bo jak już powiedziałam, jemu nie przytrafia się nigdy nic i nigdy mu się nic nie przytrafiło, nawet podczas pierwszej czy podczas drugiej wojny światowej.

— Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, miałem półtora roku — powiedziałem.

— No i co z tego? — odparła moja żona. — Nie zmienia to w niczym faktu, że nie zdarzyło ci się podczas pierwszej wojny światowej nic, tak samo zresztą jak podczas drugiej, a wiadomo przecież skądinąd, jakie ciekawe rzeczy przytrafiają się dzieciom, a nawet niemowlętom.

Poczułem, że wszyscy na mnie patrzą, więc postanowiłem zleźć z tematu, a moja żona powiedziała:

— Jeśli o mnie chodzi, to spotykały mnie już ciekawe przygody, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, a raz widziałam nawet cud.

— Cud? — zapytały chórem panie z zainteresowaniem, wynikającym z okoliczności, że

kobiety wiedzą więcej, niż mieści się komokolwiek w głowie.

— Cud — powiedziała moja żona. — Cała wieś wyległa na brzeg i wszyscy widzieli, jak o zachodzie słońca środkiem wezbranej rzeki płynął leżąc na wznak ksiądz z Liskowatego.

— Opowiedz — zawołały panie, a mężczyźni także nastawili uszu, bo obraz księdza z Liskowatego, płynącego na wznak o zachodzie słońca środkiem wezbranej rzeki na oczach całej wsi nie dawał już nikomu spokoju.

— Opowiem — powiedziała moja żona — ale pod warunkiem, że nikt nie będzie dopatrywał się w tej historii szerszego sensu ani wyciągał z niej wniosków natury ideologicznej, gdyż ona się do tego zupełnie nie nadaje i ma do siebie tylko to, że wydarzyła się naprawdę ludziom bujnym, tęgim i malowniczym, jakich dawniej było wszędzie pełno i jacy jeszcze dziś gdzieś istnieją.

Wszyscy przyrzekli, że nie będą wyciągać takich wniosków, więc moja żona opowiedziała, co następuje...

— Kiedy w czasie wakacji albo świąt moi rodzice nie wiedzieli, co ze mną zrobić, odwozili mnie do mojej ciotki, która mieszkała na wsi. Wieś ta została zupełnie spalona w czasie walk z bandami i nazwa jej nikomu by dziś nic nie powiedziała. Ale wówczas była to duża wieś, ładnie położona nad Strwiążem, i moja ciotka była w niej wójtem. Ciotka moja była kobietą dużą i

mocną, chodziła najchętniej w portkach i w kozuchu, żelazną ręką trzymała gospodarstwo i wójtostwo, krótko trzymała synów i córki, i nawet największe we wsi zabijaki bały się jej jak ognia, choć nigdy nie wyrządziła nikomu najmniejszej krzywdy. Jednym słowem, moja ciotka posiadała wrodzony autorytet, bez czego nie da się rządzić nikim i niczym, nawet własnym kotem. A moja ciotka rządziła wszystkim, jak sięgał wzrok, to znaczy do wierzchołków gór, otaczających wieś ze wszystkich stron. Mógłby ktoś wyciągnąć z tego wniosek, że moja ciotka musiała być umysłem o niezbyt szerokich horyzontach, co nie odpowiadałoby prawdzie, gdyż moja ciotka odbyła w osiemdziesiątym piątym roku życia podróż do syna do Ameryki i dała się tam poznać z jak najlepszej strony.

— Pewnego razu, kiedy spędzałam u mojej ciotki ferie, przyjechał przed Wielkanocą ksiądz z Liskowatego z prośbą, żeby moja ciotka i mój wuj sprawili mu wieprzka. Wszędzie odbywało się przed świętami świniobicie, żeby było co położyć na święcone, więc mój wuj zaczął się zaraz przygotowywać, bo ksiądz z Liskowatego przyjechał dopiero koło południa i trzeba się było spieszyć, jeśli ten wieprzek miał być sprawiony jeszcze tego dnia. Ale mojej ciotki właśnie nie było w domu, bo poszła do gminy w sprawach publicznych, więc musieli na nią zaczekać. A ponieważ należało ugościć księdza z Liskowatego, mój wuj nakrajał suchej kiełbasy, wybrał trochę ogórków z beczki i przyniósł z piwnicy kilka

butelek żywieckiego piwa, które trzymał w chłodzie na święta. A po moją ciotkę posłał do gminy syna Władka, żeby zaraz wracała, bo trzeba jechać sprawić wieprzka księdzu z Liskowatego, a jest późno. Czekać siedzieli i rozmawiali o gospodarskich sprawach, pijąc piwo i zagryzając kielbasą. Ksiądz był jeszcze młody, ale swój rozum miał, żył dobrze z ludźmi, chętnie z nimi przesiadywał, a nawet popijał, tyle że w miarę. Na wsi ludzie muszą sobie pomagać o wiele więcej niż w mieście, gdzie nikt nikogo nie potrzebuje, bo od tego są usługi publiczne dla ludności. Ksiądz z Liskowatego pomagał wszystkim potrzebującym, a że był człowiekiem z natury dobrym i wypełniał z poświęceniem duszpasterskie obowiązki, uchodził w całej okolicy za świętego. Zgodnie ze swym posłannictwem był sprzymierzeńcem porządku publicznego, który uosabiała w gminie moja ciotka, i obrońcą mienia prywatnego, zagrożonego zwłaszcza w okresie poprzedzającym Wielkanoc, kiedy to miejscowym obyczajem większość ludności płci męskiej wędrowała po okolicy starając się coś ukraść, co miało stanowić rękojmię powodzenia na cały następny rok. Mój wuj był niski, miał za krótkie nogi i za długie ręce, ale zwijał się przy robocie jak nikt, znał się na wszystkim i spełniał funkcje, od jakich w mieście są rzeźnicy, masarze, ślusarze, stolarze, murarze i dentyści. Mój wuj był jedyną osobą na świecie zdolną napędzić stracha mojej ciotce samym swoim wyglądem,

jako że istoty duże i mocne boją się z reguły małych a ruchliwych.

Kiedy moja ciotka wróciła z gminy, zaraz powiedziała, że nie ma ani chwili do stracenia, i kazała synowi Władkowi zaprzęgać i załadować na wóz koryto. Ale spojrzawszy na stół, zawstydziła się bardzo, widząc, że mój wuj przyjął księdza z Liskowatego suchą kiełbasą, ogórkami i piwem. Podrzuciła więc pod kuchnię, zagrzała kaszanekę i wyciągnęła nalewkę na spirytusie. Przepili więc i zagryźli, raz i drugi. Wtedy okazało się, że jest już pora obiadu i nie można jechać o głodzie, więc moja ciotka uwinęła się szybko, bo nie było chwili do stracenia, i nakryła do stołu. Wypili nalewki na spirytusie pod grochówkę na boczku, a potem pod schab z kapustą. Wtedy poczuli pragnienie, a że mój wuj nie miał już więcej piwa w piwnicy, bo wypili wszystko z księdzem z Liskowatego czekając na moją ciotkę, więc kazał synowi Władkowi szybko podskoczyć zaprzęgniętym już wozem do konsumu i przywieźć dwie skrzynki piwa, w tym jedną dla księdza na święta. Zanim Władek obrócił tam i z powrotem, upłynęła chwila, tak że kiedy wreszcie przyjechał z piwem, chciało im się pić jeszcze więcej niż przedtem. Wypili więc po parę butelek, najpierw ze skrzynki mojego wuja, potem ze skrzynki księdza, który nie chciał być dłużny. Wreszcie moja ciotka stwierdziła, że dzień chyli się ku zachodowi i że jeśli naprawdę chcą sprawić tego wieprzka, to najwyższy czas jechać. Wypili więc szybko

strzemiennego nalewką na spirytusie i zaczęli wsiadać na furę. Mój wuj powoził, więc siadł na koźle z lewej strony, moja ciotka w środku, a ksiądz z Liskowatego z prawej. Za ich plecami leżało na wymoszczonym słomą wozie czysto wyszorowane koryto. Ale jak tylko ruszyli, mój wuj spostrzegł, że ksiądz z Liskowatego zmorzyło i że może łatwo spaść z kozła i coś sobie nie daj Boże zrobić, więc żeby nie tracić czasu, kazał zaraz Władkowi namościć słomy w koryto, do którego położyli we troje z wielką atencją ksiądz z Liskowatego, który poczuł się widać wygodnie, bo mruknął błogosławieństwo i natychmiast zasnął. Był to człowiek bogoboyny, ale nieprzywykły jeszcze w pełni do miejscowych obyczajów. Wtedy mój wuj kazał synowi Władkowi wleźć na kozioł i jechać też, żeby szybciej uwinąć się z wieprzkiem, bo zaczynało robić się późno. Więc mój wuj zaciął ostro konie i wylecieli na gościniec. Na dole był potok, który niedaleko stamtąd wpadał do strwiąża. Żeby przez niego przejechać, mój wuj musiał wziąć dobry rozpęd, bo właśnie była wiosenna powódź i wody wezbrały. Więc mój wuj zaciął, konie pociągnęły, wóz podskoczył wjeżdżając na przeciwległy brzeg. Tak więc wszystko poszło jak z płatka i teraz jechali już co koń wyskoczy, bo robiło się późno. Po jakiejś chwili moja ciotka odwróciła się, spojrzała za siebie i powiedziała do mojego wuja:

"Ludwik, a gdzie ksiądz z Liskowatego?"

Mój wuj obejrzał się także, spojrzął i powiedział do mojej ciotki:

"Brońcia, a gdzie koryto?"

Albowiem na wozie nie było ani księdza z Liskowatego, ani koryta, choć jeszcze przed chwilą widzieli na własne oczy na wozie i księdza, i koryto.

"Bez koryta nie możemy sprawić wieprzka" — powiedział wtedy Władek, syn mojej ciotki i mojego wuja, i moja ciotka twierdziła do końca życia, że była to jedyna rozsądna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział.

Wobec tego mój wuj zawrócił konie i pojechali czym prędzej z powrotem, aż do samego domu, ale nigdzie nie spotkali ani koryta, ani księdza z Liskowatego. To właśnie wtedy cała wieś wyległa na brzeg i wszyscy widzieli, jak o zachodzie słońca płynął samym środkiem rzeki, leżąc na wznak, ksiądz z Liskowatego.

Moja żona przerwała i wtedy ktoś zapytał:

— A co się stało z wieprzkiem?

— Stało się — powiedziała moja żona — co się miało stać, z czego wynika, że niepodobna uniknąć swojego losu. Nazajutrz z samego rana moja ciotka i mój wuj pojechali do Liskowatego, nie powiedziawszy nikomu ani słowa, bo było im bardzo wstyd za to, co się stało, ale pół wsi udało się tam też, żeby zobaczyć księdza z Liskowatego zdrowego i całego, i wtedy już nikt nie miał wątpliwości, że to był cud, i wszyscy mówili, choć on temu gorąco zaprzeczał, że ksiądz z

Liskowatego to prawdziwy święty. Nie było rady, musiał przyjąć ten dopust boży, żył wśród swych parafian jeszcze bardzo długo i muszę wam powiedzieć, że to był święty człowiek. Ale to już zupełnie inna historia i może wam ją kiedyś opowiem.

STAROSTA Z LESKA

Rozmowa zeszła na temat różnych "Dni" i "Świąt", których jest wszędzie coraz więcej, a które polegają na tym, żeby postępować przez jakiś czas tak, jak powinno się postępować zawsze, i wtedy moja żona powiedziała:

— Wszystkie te manifestacje są wysoce irytujące, świadczą bowiem o zapóźnieniu obyczajowości i moralności w stosunku do rozwoju nauki i techniki. Prasa ma swój "dzień bez błędu", gdy tymczasem powinna dbać o niepopelnianie błędów przez cały rok, mężczyźni mają "święto kobiet", chociaż powinni być dla nas jednakowo grzeczni i usłużni jak rok długi. Niedawno odbył się w Ameryce "tydzień dobroci dla zwierząt", gdy tymczasem dla psów i kotów powinno się być dobrym codziennie, a my potrzebujemy jeszcze ciągle "tygodnia grzecznej obsługi", choć w sklepach, restauracjach i zakładach usługowych grzeczność powinna być jedyną formą stosunków między personelem a klientem. Te dni czy tygodnie, kiedy to właśnie traktuje się wyjątkowo dobrze czytelników, koty, kobiety i klientów, służą chyba tylko po to, żeby owe istoty czuły się jeszcze gorzej potem, kiedy wraca się znów do codziennych praktyk.

Ktoś zauważył, że można by zrobić wyjątek dla "tygodnia grzeczności", gdyż w tej dziedzinie wskazana jest przykładowa akcja wychowawcza, a to z

uwagi na to, że wszelkie objawy niegrzeczności mają szczególnie niemiły wydźwięk społeczny, jako że wpływają niekorzystnie na styl i model stosunków międzyludzkich.

— Wiecie przecież — powiedziała moja żona — jakie znaczenie przywiązuję tak do zewnętrznych form, jak do wewnętrznych cech grzeczności, o czym miałby coś do powiedzenia mój mąż, gdyby chciał, ale jemu się nigdy nic nie chce. W życiu społecznym, towarzyskim, a nawet rodzinnym grzeczność odgrywa dużą rolę, zwłaszcza wówczas, kiedy jest dobrze pojęta i należycie stosowana. Mówię o tym dlatego, że mogłabym wam przytoczyć przykłady grzeczności, zdolnej zatruć człowiekowi życie, a nawet opowiedzieć wydarzenie o skutkach opłakanych, spowodowanych złym pojmowaniem i jeszcze gorszym zastosowaniem tej ważnej cnoty. Lecz byłaby to dość długa historia, a jest już późno.

Ale wszyscy chcieli mimo późnej pory usłyszeć o tym wydarzeniu, które z powodu złego pojmowania i jeszcze gorszego zastosowania grzeczności doprowadziło do opłakanych skutków, więc moja żona powiedziała...

— Znałam przed wojną starostę z Leska, który zaskarbił sobie moją sympatię, gdyż był człowiekiem kulturalnym i wrażliwym. Nie wiem, czy ktoś z was był kiedyś w Lesku. Jest to miejscowość malowniczo położona wśród gór w dolinie Sanu i posiadająca zamek oraz inne zabytki z XVI wieku. Otóż starosta z

Leska, mimo że urzędnik, był bardzo wrażliwy zarówno na piękno przyrody, jak i na urodę zabytkowych budowli. W ciągu tygodnia, zaabsorbowany licznymi obowiązkami, nie miał czasu na cieszenie oczu zielenią doliny i czerwienią starych murów, ale odbijał to sobie w niedzielę. W tych okolicach jedna pora jest piękniejsza od drugiej, bo na Podgórzu ciągle jeszcze następują po sobie cztery pory roku, a nie dwie, jak u nas na Mazowszu. Toteż starosta z Leska odbywał w każdą niedzielę długie samotne spacer, zaraz po mszy, której wysłuchiwał w gotyckim kościele w towarzystwie małżonki, czekając na chwilę, w której zgodnie z wymogami swej pozycji będzie mógł położyć na tacy trzymaną w pogotowiu srebrną pięcioletówkę. Potem odprowadzał małżonkę do domu, gdzie ona zajmowała się przygotowaniami do niedzielnego obiadu, natomiast starosta z Leska dawał upust swej miłości przyrody i zachwytowni dla starych kamieni. W dni pogodne odbywał długie spacer w górę doliny aż do podnóża pokrytych lasem gór, w niepogodne odwiedzał zamek Kmitów, obchodził dokoła starą cerkiew albo synagogę lub też osiemnastowieczne kamieniczki. Wyprawy te napępniały go zawsze pogodą i zadowoleniem, promieniującym na wszystkie dni tygodnia. Starosta z Leska lubił to niepomieranie. Napotkani przechodnie pozdrawiali go uprzejmie, ale przyzwyczaili się nie naruszać w niczym ani nie zakłócać samotnego rytuału jego wędrówek.

Moja żona zawiesiła głos, żeby tym lepiej przejść do tej części opowiadania, po której można było oczekiwać, że będzie zasadnicza, a my widzieliśmy jak na dłoni starostę z Leska idącego w odświętnym ubraniu po niepokalanym śniegu, na którym zapalały się słoneczne iskierki, albo wśród czerwonej od buków podbieszczadzkiej jesieni, albo też pośród świeżutkiej zieleni doliny, w czasach, które były czasami naszej młodości.

— Owego przedpołudnia — mówiła moja żona — panowała piękna, wiosenna pogoda, toteż starosta z Leska zapuścił się jeszcze dalej niż zwykle w górę doliny, radując się widokiem zalanych słońcem łąk, wsłuchając się w śpiew ptaków i wywijając laseczką. Było mu dobrze jak nigdy, czuł się lekki i szczęśliwy, odleciały go wszelkie zgryzoty, a myśli zatrzymywały się tylko na sprawach przyjemnych i płócych. Doszedłszy do ulubionego miejsca, z którego rozciągał się widok na dolinę, starosta z Leska najpierw nie mógł się dość napatrzyć, potem spojrzął na zegarek i postanowił wracać. W drodze powrotnej myślał z rozrzewnieniem o domu, małżonce i oczekującym go obiadku. Uśmiechał się do swych myśli, podśpiewywał w takt kosom i wilgom i wywijał laseczką. Tak doszedł do gościńca. Tu zatrzymał się na chwilę, żeby przepuścić jakiś samochód i przeczekać, aż opadnie chmura wzniesionego kurzu. Kiedy samochód był już całkiem blisko, starosta z Leska rozpoznał miejscowego dziedzica, siedzącego za kierownicą odkrytego,

sportowego Daimlera. Miejscowy dziedzic rozpoznał również starostę z Leska i począł hamować, ale że jechał z dosyć dużą jak na owe czasy szybkością, minął starostę i zatrzymał się dopiero o kilkadziesiąt kroków za nim. Starosta z Leska przeczekał, aż opadnie chmura kurzu, i wszedł na gościniec. Miejscowy dziedzic siedział w samochodzie, odwróciwszy głowę ku tyłowi i klaniał się uprzejmie staroście z Leska kaszkietem w kratę. Starosta z Leska odkłonił mu się również uprzejmie, uchylając melonika, i chciał iść dalej w swoją drogę, kiedy miejscowy dziedzic zawołał:

"Panie starosto! Proszę siadać! Podwiozę!"

Starosta z Leska uchylił ponownie melonika i odkrzyknął wywijając laseczką:

"Dziękuję panu dziedzicowi, dziękuję ślicznie. Ale jestem na spacerze! Pogoda!"

Tu starosta z Leska wskazał laseczką na pogodę, która rzeczywiście była wyjątkowa.

"Ale niechżeż pan starosta pozwoli! Podwiozę z przyjemnością!"

"Dziękuję! — odkrzyknął starosta z Leska. — Pan dziedzic bardzo uprzejmy! Ale ja wolę się przejść piechotką!"

"Mowy być nie może! — zawołał miejscowy dziedzic. — Byłoby to niegrzecznością zostawiać pana starostę taki szmat od domu!" — i począł cofać samochód do tyłu, aby oszczędzić staroście z Leska fatygi. Albowiem miejscowy dziedzic otrzymał w młodości staranne wychowanie, dzięki czemu

odznaczał się wyszukaną grzecznością, której uchybić nigdy by sobie nie pozwolił, zwłaszcza wobec najwyższego w powiecie przedstawiciela władzy. Starosta z Leska dawał jeszcze przeczące znaki laseczką, ale miejscowy dziedzic tylko mocniej nacisnął na gaz, wzbił chmurę kurzu i w tej chmurze tak jakoś nieszczęśliwie najechał, że złamał staroście z Leska lewą nogę.

Moja żona przerwała na chwilę, ale nie na długo, tylko akurat na tyle, żeby nie dać nam ochłonać, i ciągnęła dalej:

— Kiedy miejscowy dziedzic zobaczył, co się stało, zmartwił się bardzo i powiedział: "Bożeż ty mój! A to ci kabała! Ale zaraz to naprawimy! Piorunem! Do szpitala!"

Cóż, nie było rady, teraz starosta z Leska nie mógł już wrócić piechotką. Miejscowy dziedzic ulokował go z wielkim trudem na przednim siedzeniu, ale starosta z Leska nie mógł ani rusz wciągnąć do środka złamanej nogi, więc miejscowy dziedzic wystawił tę nogę przez nie domknięte drzwi razem z prawą, bo ta lewa złamana przeszkadzała tej prawej całej dostać się do środka, i ruszył na całego, żeby czym prędzej dowieźć starostę z Leska do szpitala powiatowego. Ruszył, zanadto ściał wiraż i zawadził o przydrożny słupek tak jakoś nieszczęśliwie, że złamał staroście z Leska prawą nogę.

Wszystkim zrobiło się przykro, bo jużśmy zdążyli przywiązać się do starosty z Leska, a moja żona powiedziała:

— Oto do czego może doprowadzić grzeszność nie na miejscu i nie w porę. Z takiej grzeszności wynikają same przykrości. Albowiem przykrość spotkała nie tylko starostę z Leska, ale również miejscowego dziedzica, bo nikt mi nie wówi, że złamanie starości z Leska najpierw jednej, a potem drugiej nogi, sprawiło mu przyjemność. Różnie można oceniać przebieg wydarzenia, ale jedno nie ulega wątpliwości, a mianowicie, że starosta udał się na spacer mając obie nogi całe, a wrócił ze spaceru z obiema nogami połamanymi, co spowodowała niepoohamowana grzeszność miejscowego dziedzica. Wziąć pod uwagę trzeba również starość z Leska, która w pogodne, niedzielne przedpołudnie czekała na małżonka z dobrym obiadem, i parę innych osób, które musiały być z konieczności w tę sprawę wmmieszane. Ale dajmy temu pokój, bo jeśli się zaczniemy wgłębiać, nie skończymy nigdy i będziecie chcieli, żebyśmy opowiedziała wszystko do końca, a przecież żadna historia nie ma końca i każdą można opowiadając dalej. Może zresztą kiedyś dam się do tego namówić.

KER

Odbywały się właśnie Dni Książki i rozmowa dotyczyła różnych korzyści, jakie przynosi lektura, oraz roli książki w podnoszeniu kwalifikacji osobistych. Panie robiły na drutach, a mężczyźni nie robili nic, tylko wałkonili się w słońcu.

— Jeśli o mnie chodzi — powiedziała moja żona — to zawsze byłam zapaloną czytelniczką, ale pewnego razu czytanie książek nie tylko nie pomogło mi i nie wyszło na dobre, ale nawet poważnie przeszkodziło w nauczaniu się czegoś, na czym mi ogromnie zależało. Stąd wniosek, że nie należy generalizować i przesadzać, przypisując książkom i lekturze same dobre strony.

Opowiedz! Opowiedz! — zawołały panie.

Moja żona szybko policzyła drutem oczka w robótce, którą zaraz przełożyła z jednego druta na drugi.

— Było to — powiedziała moja żona — w pierwszych latach po wojnie. Dziwnym zbiegiem wypadków, możliwym tylko w owych czasach, mój mąż został skierowany do pracy w ambasadzie w Paryżu. Z wyjazdu pamiętam tylko tyle, że przez cały dzień biegałam po Warszawie za jakimś kapeluszem, bo jeżeli wtedy w Paryżu modne były kapelusze, to żadna kobieta nie pokaże się bez kapelusza. Teraz zresztą, znowu są modne. Po przyjeździe czułam się

bardzo nieszczęśliwa, bo nie rozumiałam nic z tego, co do mnie mówią, chociaż w gimnazjum miałam zawsze piątkę z francuskiego. Wobec tego mąż mój postanowił, że pojedę na dwa miesiące letnie do Bretanii, i to zupełnie sama, tak żebym miała od rana do wieczora do czynienia wyłącznie z językiem francuskim. Pojechałam więc do takiej małej, rybackiej dziury i zamieszkałam w hoteliku, który stał nad samym morzem.

Właścicielką tego hoteliku była pani Cochenec. Miała lat osiemdziesiąt, nosiła wysoki, koronkowy czepek, który nazywa się bigouden, i nie umiała ani czytać, ani pisać. Wiezorami zapraszała mnie na rozmówkę i kieliszek wiśni w koniaku, co bardzo lubiła. I to była moja jedyna konwersacja w ciągu dnia! Przesiadywałam całymi dniami na plaży, czytając książki i patrząc na przyptywy i odpływy morza. Zmieniały one zupełnie wygląd zatoki, bo w czasie wielkich przyptywów morze wypełniało ją aż po samą plażę, a w czasie odpływów ocean uciekał daleko, odsłaniając skały, pośród których brodzili ludzie w poszukiwaniu krabów, małży i krewetek.

Byłam zupełnie samotna. Do tej miejscowości przyjeżdżały przeważnie matki z dziećmi, była to tak zwana plaża rodzinna, nikt się mną nie interesował, przesiadywałam więc całymi godzinami nad morzem, czytając książki i martwiąc się, że tak nigdy nie nauczę się francuskiego. Na pewno było tam ładnie i ciekawie, ale kiedy człowiek jest taki zupełnie sam, to czuje się

mieszczęśliwy nawet w najpiękniejszym miejscu na ziemi. Powiedziałabym nawet, że im gdzieś jest ładniej, tym więcej dokucza samotność. A ponieważ tam było naprawdę bardzo ładnie, więc samotność dokuczała mi ogromnie. W dodatku nie robiłam żadnych postępów we francuskim, a przecież pojechałam tam po to, żeby język wlaził mi przez cały dzień do głowy przez uszy. Mój mąż twierdził, że to jest jedyna metoda i że on tak właśnie nauczył się francuskiego, kiedy za studenckich czasów spędził jakiś czas w Paryżu. Dziś jestem prawie pewna, że musiał sobie sprawić jakiś słownik, którego z całą pewnością nie wkładał na noc pod poduszkę, lecz postępował z nim wprost przeciwnie.

Obruszyłem się, bo w pobliżu znajdowały się osoby nieletnie i strzygły uszami, ale moja żona spojrzała tylko na mnie i powiedziała:

— Ale on się i tak nigdy do niczego nie przyzna.

Wolałem więc nie wchodzić na ten grząski grunt, na którym nikt nie może czuć się pewnie, i puściłem to mimo uszu, a moja żona powiedziała:

Powiedziałam o tym wszystkim pani Cochenec, która zamyśliła się na króciutko, nigdy nie widziałam, żeby zamyśliła się na dłużej niż na króciutko, i zapytała, co robię całymi dniami na plaży. Kiedy jej poiedziałam, że czytam książki, podniosła obie ręce i oczy ku niebu, a raczej ku sufitowi, bo to się działo przy kontuarze, na którym stały nasze wiśnie w koniaku, i zawołała: "Książki! Dobry Boże! Któraż

szanująca się matka rodziny podejdzie do kobiety, trwoniącej czas na czytanie książki!"

"I kazała mi zabrać ze sobą na plażę wełnę i druty. Powiedziałam jej, że nie umiem robić na drutach. Odpowiedziała, że to bardzo dobrze, że nie umiem robić na drutach, i poradziła, żebym usiadła na dobrze widocznym miejscu i manipulowała drutami tak, żeby z daleka było widać, że nie umiem robić na drutach. Tak też uczyniłam i gdy tylko te panie zobaczyły, że chciałabym robić na drutach, ale nie mam o tym zielonego pojęcia, zleciały się ze wszystkich stron i zaczęły mówić do mnie jedna przez drugą, tak że do końca pobytu miałam już konwersację i kiedy mój mąż po mnie przyjechał, paplałam już z tymi paniami tak, że nie mógł się zupełnie połapać, o co chodzi. Tak to nauczyłam się robić na drutach i dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy o wkraczaniu cudownych przypadków w życie ludzkie, o czym wam może kiedyś opowiem.

Ale panie chciały koniecznie usłyszeć natychmiast o cudownych interwencjach przypadku w życie ludzkie, bo tak naprawdę to jest właśnie to, na co wszyscy liczymy, choć nie lubimy się do tego przyznawać. Gromadzimy więc po kryjomu wszelkie fakty świadczące o takich przypadkach w nadziei, że i nam się także coś podobnego przytrafi.

Moja żona policzyła znowu oczka w robótce, dotykając ich po kolei drutem, i powiedziała:

— W czasie naszych wieczornych posiedzeń przy wiśniach w koniaku pani Cochenec opowiedziała mi swoje życie ze szczegółami. Ja już mam takie szczęście, że kogo tylko spotkam, to zaraz opowiada mi swoje życie ze szczegółami, ale to chyba dlatego, że, jak wam już mówiłam, ludzie obchodzą mnie najbardziej ze wszystkiego na świecie. Nikt przecież nie wpadnie na pomysł opowiadania o sobie komuś, kogo interesują tylko ryby albo znaczki pocztowe, czy też komuś, kto interesuje się tylko samym sobą, to jest niczym, jak nie wskazując palcem niektóre osoby.

Postanowiłem udawać, że drzemię na leżaku, więc moja żona ciągnęła dalej:

— Pani Cochenec pochodziła z biednej, ale za to licznej rodziny, więc od dziecka była służącą u jednych państwa w Quimperle, bo te właśnie biedne, ale liczne rodziny bretońskie dostarczają Francji od wieków marynarzy, żołnierzy i pracowników domowych. Kiedy miała lat osiemnaście, poznała młodego cieśla, który pracował przy restauracji katedry w niedalekim Quimperle. Cieśla miał złote włosy i niebieskie oczy, których pani Cochenec nigdy nie mogła zapomnieć, więc ślub odbył się w kościele w Quimperle i zaraz potem urodziła się Jeannette. W czasie mojego pobytu Lu miała już własne dzieci, ale to nie ma nic do rzeczy, wróćmy więc do czasów, kiedy była maleńkim, ślicznym noworodkiem.

Wówczas bowiem wydarzyło się nieszczęście: złotowłosy i niebieskooki cieśla zabił się spadając z

wieży katedry w Quimper, pozostawiając żonie i córeczce w spadku jedynie mały domek, w którego kupnie ulokował wszystkie swe oszczędności. Pozostawszy bez środków do życia pani Cochenec zamieszkała w tym domku, zajmując wraz z córeczką kuchnię i jedyną izbę i co parę lat wyklejała jej ściany nowymi, czystymi tapetami. Ale któregoś lata tapicer oświadczył, że nie można naklejać tak bez końca jednych tapet na drugie, że trzeba zedrzeć te, które już zostały naklejone, i zacząć wszystko od nowa. Pani Cochenec targowała się z nim zawzięcie, bo powiększyło to znacznie koszty przygotowania izby do sezonu, ale tapicer był nieugięty i postawił na swoim.

Poczęli więc zrywać tapety, a mała Jeannette dzielnie im w tym pomagała. Oderwała z wielkim trudem płat tapety, ale zaraz przestała, bo zobaczyła pod nią kawałek czyjejś nogi. Krzyknęła z wrażenia, więc pani Cochenec i tapicer przybiegli kolejno i wtedy oni także zobaczyli tę nogę. Wyglądała spod zdartej tapety wymalowana na murze olejną farbą i choć nie była tak całkiem podobna do prawdziwej nogi, można się było domyślać, że to ma być noga.

Moja żona przerwała i popatrzała na nas, jakby chciała sprawdzić, czy wyobrażamy sobie należycie tamtą izbę i tamtych troje oglądających namalowaną na ścianie nogę, a my widzieliśmy to wszystko tak dokładnie, jak widzi się zawsze bardzo dawne wydarzenia i ludzi, których nie spotkało się nigdy.

— Wtedy — mówiła dalej moja żona — tapicer zerwał własnoręcznie resztę tapety ze ściany, odkrywając w całej okazałości wielkie malowidło, płaskie i bez perspektywy, na którym niebo miało kolor, jaki powinna mieć ziemia, a za to ziemia była czerwona i niebieska, jak niebo o zachodzie słońca.

"Trzeba będzie zamazać wapnem — powiedziała ze zmartwieniem pani Cochenec. — Bohomaz taki jakiś."

Ale tapicer powiedział surowo, żeby się nie ważyła dotknąć tego malowidła, dopóki on nie wróci, a jeśli by go broń Boże dotknęła, to on więcej ręki nie przyłoży do tapetowania izby, co było wystarczającą groźbą, bo drugiego tapicera nie było w całej okolicy. Wsiadł na rower i pojechał do Quimperle, skąd wrócił pod wieczór prowadząc ze sobą brodatego malarza w rozwianej pelerynie i w ogromnym berecie. Malarz zażądał zaraz *cidre'u*, bo dzień był upalny, pani Cochenec miała w piwnicy dobry, musujący i chłodny *cidr,e* chowany dla letników, więc ten malarz wypił cztery butelki tego *cidre'u* i kiedy już miał dość, powiedział, że nie dałby ani czterech *sous* za bohomaz na ścianie, po czym wsiadł na rower i odjechał z powrotem do Quimperlé.

Pani Cochenec wiedziała z góry, że tak się to skończy, i zaczęła uzalać się na niepotrzebną stratę czasu i *cidre'u*, lato już się zaczynało, w kiosku naprzeciwko ustawiano już ruszt do smażenia bretońskich naleśników, a tapetowanie pokoiku jeszcze

się nawet nie rozpoczęło. Ale tapicer tylko na nią popatrzył, ale za to tak, że umilkła od razu. Poszedł do sklepikarza, zastawił rower, żeby mieć na bilet do Quimper, i wrócił nazajutrz w południe prowadząc ze sobą trzech panów ubranych z miejska, którzy ledwie rzucili na obraz okiem, zaraz zaczęli wydawać okrzyki i podnosić w górę ramiona, jakby stało się jakieś nieszczęście, nie chcieli pić *cidre'u*, tylko zaraz zabrali się z powrotem, a nazajutrz powrócili z wozem transportowym i czterema murarzami, którym kazano wyciąć obraz wraz ze ścianą i załadować na wóz, a pani Cochenec kazali coś podpisać krzyżykami przy świadkach i dali jej czterdzieści tysięcy franków w złocie, co było bardzo dużą sumą, jako że działo się to wszystko przed pierwszą wojną światową, kiedy pieniądź był jeszcze coś wart. Za te pieniądze pani Cochenec wybudowała pensjonat, w którym mieszkała, a Jeannette poszła do szkoły i została nauczycielką, potem wyszła za mąż i miała dużo dzieci.

Moja żona umilkła i najwyraźniej uważała opowiadanie za skończone. Widać to było po jej minie i ze sposobu, w jaki zabrała się do robienia na drutach.

— No dobrze — spytaliśmy. — A co to był za obraz?

— To nie ma nic do rzeczy — powiedziała moja żona — co to był za obraz. Nie zmienia bowiem w niczym sensu opowieści, której treścią jest ingerencja przypadku w życie ludzkie, a nie przyczynek do historii sztuki. Ale jeśli już chcecie koniecznie wiedzieć,

to wam powiem: to był najprawdziwszy Gauguin. Powstał zapewne w czasie drugiego pobytu malarza w Bretanii. Gauguin musiał nie mieć któregoś dnia na płótno, co mu się często zdarzało, i począł malować na ścianie izby, którą wynajmował, żeby dać upust rozsadzającej go pasji twórczej. W ten sposób, gdyby Gauguin miał dość pieniędzy na płótno, pani Cochenneć tapetowałyby do końca życia swój jedyny pokój. Być może, jakiś inny przypadek sprawił, że Gauguin nie miał na płótno akurat wtedy, kiedy miał natchnienie. Być też może, że młody cieśla całkiem przypadkowo kupił właśnie ten domek, a nie inny, bo tam było zawsze pełno domków do kupienia. Ale nie było przypadkiem, że tapicer nie pozwolił zamazać obrazu wapnem, jak chciała pani Cochenneć, i może to on jest właściwym bohaterem tej historii, obok domku oczywiście, a domek po bretońsku nazywa się "ker". Już jesteście zadowoleni?

Potaknęliśmy chórem, a wtedy moja żona podniosła wzrok znad robótki, popatrzyła na nas i powiedziała:

— Cóż to za przerażający brak wyobraźni! Myślicie naprawdę, że to jest wszystko, co na ten temat można powiedzieć? Nikt z was nawet nie pomyślał o człowieku, który był przekonany, że zrobił świetny interes, sprzedając młodemu cieśli z Quimperle za parę franków walący się domek, zawierający coś, co warte było czterdzieści tysięcy franków w złocie. Ale to już

zupełnie inna historia i może ją jeszcze kiedyś opowiem.

PLECAK

Siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy zadzwonił telefon. Pani Ziuta, lekarz pediatra, chciała rozmawiać z moją żoną.

— Do ciebie — powiedziałem, podając słuchawkę mojej żonie.

Moja żona słuchała przez chwilę tego, co miała jej do powiedzenia pani Ziuta, kiwając głową i mówiąc od czasu do czasu "tak... tak...", po czym powiedziała:

— A jaki kolor?

Pani Ziuta musiała wdać się w dość szczegółowy opis koloru, bo moja żona znów pokiwała głową, powtarzając od czasu do czasu "tak... tak...", po czym powiedziała:

— Proszę dać włoskiego koperku. Pół łyżeczki na szklanke wody. Nie bardzo słodzić.

Kiedy moja żona odłożyła słuchawkę, powiedziałem:

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego pani doktor zasięga u ciebie porad lekarskich w sprawie dziecka. To się kiedyś źle skończy.

Moja żona popatrzyła na mnie wyrozumiale, wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Pani Ziuta jest bardzo dobrym lekarzem-pediatrą, toteż zasięga rad w sprawie zdrowia swego dziecka tam, gdzie należy. Wychowałam trzech synów i o ile jeszcze cokolwiek z tego pamiętasz, to musisz

przyznać, że żaden z nich nigdy nie chorował na brzuszek.

Musiałem rzeczywiście to przyznać, ale tegoż popołudnia, kiedy siedzieliśmy z przyjaciółmi przy herbacie, znów zadzwonił telefon.

— Do ciebie — powiedziałem, podając słuchawkę mojej żonie. — Pani Ziuta. Chlipie. Mówiłem, że to się źle skończy.

Moja żona słuchała przez dłuższą chwilę tego, co mówiła pani Ziuta, lekarz-pediatra, po czym powiedziała:

— Nie ma za co, droga pani doktor, nie ma za co.

— Chlipała rzeczywiście, czy tak mi się tylko zdawało? — zapytałem, kiedy moja żona odłożyła słuchawkę i wróciła do stołu. Przyjaciele też spojrzeli na moją żonę z niepokojem, bo wszyscy lubiliśmy bardzo panią Ziutę.

Moja żona uśmiechnęła się leciutko i powiedziała:

— To niesłychane! Mężczyźni żyją obok kobiet od Adama i Ewy, a tak mało o nich wiedzą! Jestem przekonana, że Ewa nie była wcale taka zaskoczona, kiedy ujrzała Adama po raz pierwszy, a jestem pewna, że już na drugi dzień wiedziała o nim wszystko, podczas gdy mężczyźni po dziś dzień patrzą na dażdą kobietę, jakby ją po raz pierwszy widzieli, i nie znają się nawet na takich najprostszych sprawach jak kobiece łzy.

Mężczyźni zaprotestowali zgodnym chórem twierdząc, że kobiece łzy nie są wcale taką prostą

sprawą jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, i wtedy moja żona powiedziała:

— Mogłabym wam opowiedzieć na ten temat historię, którą pamiętam z dzieciństwa, ale chyba nie warto, bo mężczyźni i tak nigdy niczego nie rozumieją.

Wówczas panie zażądały, żeby moja żona absolutnie opowiedziała historię zapamiętaną z dzieciństwa, i to bez względu na to, czy mężczyźni coś z niej rozumieją. Więc moja żona zaczęła tak...

— Było to w czasie pierwszej wojny światowej, a więc bardzo dawno temu. Mieszkałyśmy wówczas w małej miejscowości pod Lwowem, która później rozrosła się w ładne i uczęszczane letnisko. Mieszkałyśmy tam w niedużym domku z mamusia i moją siostrą same, bo tatuś był na wojnie. Wiedziałyśmy, że mamy tatusia, bo mamusią ciągle o nim mówiła, ale znałyśmy go tylko z fotografii, która stała na biurku. Toteż pytałyśmy bez przerwy, kiedy tatuś przyjedzie, a nasza mamusia odpowiadała, że już niedługo, bo wojna się wkrótce skończy. Ale wojna ciągle się nie kończyła i mamusia mówiła, że tatuś jest na froncie włoskim. Było coraz ciężiej, żywności było coraz mniej, bo mocarstwa centralne poddane zostały blokadzie, do dziś dnia pamiętam obrzydliwy smak, zapach i kolor melasy, której używało się zamiast cukru. Nasza mamusia była bardzo dzielna, nigdy nie pamiętam, żeby płakała, tylko wieczorami pisywała do tatusia listy na front i czasami dawała nam je do

wrzucenia do skrzynki pocztowej. Byłyśmy takie małe, że wspinałyśmy się na płot, żeby dosięgnąć skrzynki. Od czasu do czasu przychodziły listy od naszego tatusia, były to szare koperty upstrzone różnymi pieczętkami cenzury i poczty polowej. Nasza mamusia czytała je, kiedy leżałyśmy już w łóżeczkach, siedząc przy biurku, tak że widziałyśmy tylko jej plecy i pochyloną głowę. Potem opowiadała nam o tatusiu i pewnego dnia dowiedziałyśmy się, że tatuś jest ranny i leży w szpitalu, a później, że nie wraca już na front, tylko że jest przeniesiony do intendencji i pewnie niedługo przyjedzie i przywiezie nam w plecaku dużo dobrych rzeczy, o które teraz będzie mu się łatwo postarać, skoro jest w intendencji, a przede wszystkim całe półce takiej smacznej, wędzonej słoniny, jaką czasem częstowali nas stojący w domu na kwaterze austriacy, to znów rosyjscy oficerowie, a która była wówczas szczytem naszych marzeń. Toteż co wieczór, przed zaśnięciem, marzyłyśmy o tatusiu przyjeżdżającym z ogromnym plecakiem pełnym kruchej i wonnej słoniny i nie mogłyśmy się doczekać, kiedy wreszcie przyjedzie. Wszyscy mówili, że wojna się kończy, a myśmy ciągle słodziły zbożową kawę obrzydliwą melasą i mamusia co wieczór pisała listy do tatusia, które czasem pozwalała nam wrzucać do skrzynki, a tatusia jak nie było, tak nie było. Inni tatusiowie przyjeżdżali z frontu w wypłowiałych, niebieskich mundurach, dźwigając dobrze wypchane plecaki, pełne słoniny, konserw i białego cukru, mówiły

nam o tym inne dzieci, których tatusiowie już przyjechali, a my mogłyśmy tylko opowiadać, jaki to ogromny plecak słońiny przywiezie nasz tatuś, który jest w samej intendenturze, i że niech się schowają wszystkie plecaki wszystkich tatusiów w całych Winnikach, bo tak się nazywała miejscowość, w której mieszkaliśmy.

Moja żona przerwała i siedziała przez chwilę zamyślona, jakby przypatrując się raz jeszcze obrazowi zachowanemu w pamięci, na którym dwie małe dziewczynki leżą w łóżeczkach i marzą przed zaśnięciem o ogromnym plecaku pełnym słońiny, zbliżającym się na plecach wracającego z wojny tatusia, a ich mamusia siedzi w świetle naftowej lampy, której płomień filuje, i pisze list, który nie będzie miał adresu, tylko numer jednostki. A my widzieliśmy to także, i wszystkie dzieci, i wszystkie mamusie, czekające na tatusiów, którzy nie wracali, i na tych, którzy nie mieli nigdy powrócić.

— Wreszcie — powiedziała moja żona — nasz tatuś wrócił. Przyjechał pewnego dnia niespodzianie, jak wszyscy tatusiowie w wypłowiałych, niebieskich mundurach, i zanim zaczął nas ścisnąć, postawił w kącie ogromny plecak, jeszcze bardziej wypchany niż ten, jaki widywałyśmy w marzeniach. Przywitaniom nie było końca. Tatuś brał nas na kolana, pachniał obco tytoniem i rumem, pozwalał nam się bawić krzyżami i medalami, jakie zdobiły jego pierś, kłuł nas w policzki ostrą, nie goloną od paru dni brodą i nie posiadał się z

radości. Więc to jest nasz tatuś, tak wygląda, tak pachnie i tak kłuje, teraz ciekawe byliśmy już tylko plecaka, który przez cały czas leżał sobie w kącie na podłodze, wielki i wypchany, pełen tajemniczych i cudownych rzeczy, a przede wszystkim słoniny, na myśl o której ślinka napływała nam do ust. Ale nasza mamusia widocznie całkiem straciła głowę, bo zamiast zająć się plecakiem, podała jak co dzień jaglaną kaszę na mleku, którą zjadłyśmy grzecznie, zerkając na stojący sobie w kącie jak gdyby nigdy nic plecak, a tatuś zaraz zrobił się taki śpiący, że położył się w mundurze na łóżku w mamusi pokoju, wtedy i myśmy położyły się do łóżeczek, ale nie mogłyśmy zasnąć, tylko ciągle myślałyśmy o plecaku, stojącym w kącie na podłodze. Wiedziałyśmy jednak, że nie wolno go ruszać, bo mamusia by się gniewała, że ruszamy rzeczy tatusia.

— Nie spałyśmy jeszcze, tylko udawałyśmy, że śpimy, kiedy nasza mamusia weszła do pokoju z lampą w ręce. Postawiła lampę na stole i patrzyła na plecak. Odwróciła się raz jeszcze, żeby sprawdzić, czy śpimy. Leżałyśmy cichutko, patrząc przez rzęsy. Nasza mamusia stała na środku pokoju i patrzyła na plecak. Wreszcie, widać, nie wytrzymała, bo pochyliła się, podniosła z wysiłkiem plecak — taki był wyładowany — i wysypała całą zawartość na biurko.

— Patrzyłyśmy zastygłe z zawodu, żalu, przerażenia: na biurku piętrzyły się w pakiecikach obwiniętych sznurkami i pojedynczo, popstrzone

czerwonymi pieczętkami cenzury i poczty polowej, listy od naszej mamusi, wszystkie listy, jakie pisywała wieczorami, i te, jakie pozwalała nam wrzucać do skrzynki, wszystkie listy, jakie do tatusia napisała i wysłała w ciągu tych całych lat wojny, w kopertach niebieskich, białych, szarych, różowych, listy, listy, listy, które wysypane z ogromnego plecaka ledwie teraz mieściły się na biurku.

— I wtedy po raz pierwszy zobaczyłyśmy obie, jak nasza matka płacze. Najpierw płakała cichuteńko, tylko łzy spływały jej po twarzy, więc zakryła oczy rękami, ale łzy przepływały jej między palcami, wtedy potrząsnęła głową, ale i to nic nie pomogło, bo zaraz zaczęła szlochać i nie mogła się już opanować, i wtedy wszedł do pokoju nasz ojciec, i zobaczył matkę płaczącą nad próżnym plecakiem, i zrozumiał, że matka płacze, bo nie znalazła w plecaku upragnionej słoniny, i zrobiło mu się bardzo przykro, a nasza mamusia płakała i płakała, i nie dawała mu się utulić.

Moja żona przerwała i zrobiło się cicho, jakby nikt z nas nie chciał zakłócić płaczu młodej kobiety, którą zostawiliśmy już tak płaczącą na zawsze i która płakać tak będzie nad pustym plecakiem i stertą listów, które jej mąż dźwigał przez wszystkie fronty austriackiej wojny aż do końca naszych wspomnień.

Wreszcie moja żona odezwała się pierwsza.

— No widzicie — powiedziała — jak niewiele mężczyźni są w stanie z tego wszystkiego zrozumieć. Umykają im nie tylko motywy łez, o jakie nas

przyprawiają, ale również wartości, jakie przypisujemy ich postawom i postępkom. Dlatego to owe, jakże różne od nas istoty, towarzyszące nam od czasów Ewy, wymagają tyle pobłażliwości z naszej strony. Mogłabym długo jeszcze na ten temat mówić, ale zrobię to przy innej sposobności. I tak się dość dziś nagadałam.

PRZECZUCIE

ZADZWONIŁ telefon. Głos w słuchawce:
"Nazywam się tak a tak. Czy to panu coś mówi?"

— Nie — odpowiedziałem. To nazwisko nie mówiło mi nic.

— A może powie coś panu pseudonim "Sławek"?

Przez długą chwilę żaden z nas nic nie mówił. Wreszcie przyszedłem do siebie.

Byliśmy umówieni na godzinę jedenastą 25 listopada 1942. Przeszkodzono nam.

— Tak — odpowiedział. — Ktoś nam w tym przeszkodził.

Później wydarzyło się wiele rzeczy, których się nie pamięta, ale z owych lat pamięta się każdy szczegół.

— Chciałbym pana zobaczyć.

— Niech pan przyjdzie.

Przyszedł. Pozostało mu w sylwetce i twarzy coś z młodzieńczego uroku tamtych czasów i nie miałem żadnych trudności w rozpoznaniu dawnego towarzysza.

— Nic się pan nie zmienił — powiedział. Powiedziałem mu to samo. Wiedzieliśmy obaj, że to nieprawda, ale w takich okolicznościach mawia się zawsze takie rzeczy.

Moja żona zaparzyła dobrej herbaty.

— Poznajcie się — powiedziałem. — Właściwie jakoś tam już się znacie. Te materiały, które niosłaś pod jarzynami, były dla niego.

— To już tyle lat... — powiedziała żona i nałała nam herbaty.

Potem mówiliśmy o wydarzeniach, które dzisiaj nikogo już chyba tak naprawdę nie obchodzą, a które nam wydawały się równie ważne, jakby się rozegrały wczoraj.

— Dlaczego pan wtedy nie przyszedł? — zapytał mój gość.

— Przyszedłem. Przyszedłem, tylko spóźniłem się o dobrych piętnaście minut. Dochodząc do lokalu spotkałem "Rysię", która dała mi oczyma znak, żebym tam nie wchodził. Była bardzo blada. Później dowiedziałem się od niej o najściu, i jak pan usiłował im uciec, i jak ona wymknęła się, korzystając z zamieszania.

— Miał pan szczęście — powiedział. — Punktualność była regułą dobrej konspiracji, ale gdyby był pan jej przestrzegał, wpadłby pan także, a to znacznie pogorszyłoby sprawę. Jednego można było od biedy odbić, dwóch nie.

Mój gość odbity został po wielu miesiącach z rąk gestapo w wyniku akcji, która weszła do legendy Podziemia.

— Jak to się stało — spytałem — że oni tam w ogóle weszli?

— Wszystko to był przypadek — odpowiedział mój gość. — Przypadkiem było, że akurat wtedy przyszli w sprawie rekwizycji pokoju, że zadzwonili do drzwi w taki sposób, który mogliśmy zrozumieć jako umówiony. Pamięta pan, dzwoniło się wtedy krótko trzy razy. Usłyszeliśmy najpierw jeden dzwonek, a po chwili dwa, tak jakby ktoś chciał naprawić popełnioną omyłkę. Pomyślałem, że to pan, i nawet byłem zły, bo do jedenastej brakowało całych pięciu minut, a prawdziwa punktualność polega nie tylko na tym, żeby się nie spóźniać, ale także na tym, żeby nie przychodzić za wcześnie. Przypadkiem było również, że się pan spóźnił, że coś panu przeszkodziło przyjść na czas, choć nigdy się to panu przedtem nie zdarzało.

Zadumaliśmy się nad tym wszystkim, a wtedy moja żona powiedziała:

— To nie był przypadek, że mój mąż się spóźnił. To ja mu przeszkodziłam przyjść na czas.

Mój gość nie wydawał się być zaskoczony, pomyślał sobie widać, że kobiety w ogólności, a żony w szczególności bywają najnormalniejszą w świecie przyczyną spóźniałstwa mężczyzn.

— Tak — ciągnęła moja żona. — To ja wam przeszkodziłam w spotkaniu i dlatego właśnie odbyć się ono musiało z dwudziestosześcioletnim opóźnieniem, a kto wie, czy nie dlatego może się ono w ogóle odbyć. Pamiętam doskonale ten dzień i zapewniam was, że koniec listopada był wówczas równie pogodny i ciepły, jak obecnie. Mogliśmy nawet

zaniechać opalania mieszkania palnikiem gazowym, wkładanym do pieca kaflowego, co było surowo zabronione, ale w owych czasach wszystko, cośmy robili, było surowo zabronione i karane obozem albo śmiercią. To nieprawda, żeśmy się nie bali, baliśmy się bardzo, czasami budził się człowiek w nocy zlany zimnym potem, bo w snach bał się jeszcze więcej niż na jawie, tylko że teraz nie pamiętamy o tym i wydaje nam się, żeśmy byli tylko młodzi i tylko odważni, ale ja ten strach pamiętam, był zawsze obecny, chociaż czasem głęboko schowany, tak jak te wszystkie niebezpieczne papiery ukryte w wydrażonym wałku do ciasta, w wydrażonej nodze od stołu czy nocnej lampie. Mieliśmy największy i najlepiej zorganizowany ruch oporu w całej Europie, ale Niemcy musieli wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej niż my sami, i dlatego nikt z nas nie mógł uważać tego, co robiliśmy, za jakąś zabawę, z której w razie czego mógłby się jakoś wykpić. Przypomnijcie sobie te wszystkie kobiety i dziewczęta, które były prawdziwym systemem nerwowym i krwiobiegiem tej organizacji... łączniczki, kurierki, kolporterki, samotne nauczycielki udzielające mieszkań na spotkania, choć były uprzedzone, o jakie spotkania chodzi, wdowy udzielające piwnic w swych podmiejskich domkach dla instalowania tajnych drukarni lub magazynowania broni, mężatki dzielące niebezpieczeństwo mężów, matki narażające na niebezpieczeństwo swe dzieci, choć wiedziały, że ich powołaniem jest chronić je przed

niebezpieczeństwami, wszystkie te kobiety, które przy tym nie przestały być kobietami, matkami, żonami.

Moja żona przerwała, a my ujrzeliśmy raz jeszcze zatarte czasem i wyblakłe jak stare fotografie twarze łączniczek, kurierek, kolporterek i gospodyń konspiracyjnych lokali, tych wszystkich wspaniałych dziewcząt i kobiet, których pseudonimy były zwyczajnymi, żeńskimi imionami, takimi jak Marta, Rysia, Rozalia, Wanda, Ania, Maria, Jasia, Patrycja, Lena i Rena.

Wiele z nich jest już tylko naszą pamięcią, niektóre są jeszcze wśród nas.

— I nie mówię tego po to, by się usprawiedliwiać — powiedziała moja żona — bo nie ma potrzeby usprawiedliwiać się ani tłumaczyć ze swojej kobiecości. Miewamy obawy, lęki i przeczucia, nam samym niewiadome, a przez naszych mężów i synów przyjmowane z niechęcią lub niedowierzaniem. Tamtego dnia odprowadziłam mego męża jak zwykle do drzwi, bo zawsze kopałam go w kostkę na szczęście i nadal to robię, ile razy zachodzi potrzeba. I wówczas trzeba było mieć szczęście przy każdym wyjściu z domu. Ludzie wychodzili i nie wracali nigdy albo zjawiali się po wielu latach, tak jak pan, i każde wymienione u drzwi spojrzenie mogło być ostatnim. Po dziś dzień został mi niepokój oczekiwania na znajomy zgrzyt klucza w zamku i już pewnie nigdy się go nie pozbędę, ale tamtego dnia byłam spokojna do samego progu i dopiero kiedy odsuwałam zasuwę, poczułam

że jeśli pozwolę mu wyjść, jeśli nie zatrzymam go choć na chwilę, to stanie się coś takiego, czego nie będę mogła darować sobie do końca życia. Nie było chwili do stracenia. Zatrzasnęłam drzwi, zaczęłam krzyczeć, szlochać, przytrzymywać, jednym słowem, zrobiłam takie przedstawienie, jakiego nigdy przedtem ani nigdy potem nie widział. Nie mógł mnie zostawić w takim stanie, musiał się mną zająć, bo zachowałam się nie jak konspirator, ale jak wariatka. W pewnej chwili wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło i powiedziałam najspokojniej w świecie: "Teraz możesz iść" i jeszcze popchnęłam go w stronę drzwi. Spojrzał na zegarek, upewnił się jeszcze, że odzyskałam zmysły, i wybiegł jak oparzony. Trzeba wiedzieć, że mój mąż ma zawsze czas na ostatnie pięć minut, więc wystarczyło go tylko trochę przetrzymać, żeby się spóźnił. Musiał złapać tramwaj na Zielonej, przesiąść się na Zyblikiewicza, przejechać Pełczyńską i wysiąść na Bajkach, bo lokal był gdzieś przy 29 Listopada. Resztę pan wie. Ale nie wie pan, co ja z nim miałam aż do Wyzwolenia: ile razy wybierał się na spotkanie, przyglądał mi się bacznie, czy też czegoś nie czuję. Ale ja już do końca nigdy nic nie czułam i aż mi głupio było, że mu sprawiam zawód. Jeden jedyny raz w życiu zachowałam się jak wariatka, a potem okazało się, że właśnie ten jeden jedyny raz zachowałam się z sensem.

Moja żona zamilkła, a my zadumaliśmy się przez chwilę nad kobiecymi przeczuciami, o których wie się

tak niewiele, choć są równie stare jak lęk i niepokój w sercu matek i żon, a potem zaczęliśmy znów mówić o tamtych latach. Były to ciężkie i trudne czasy, których wspomnieniu pozostaliśmy wierni, jak ci wszyscy, którzy stając do walki odzyskiwali za jednym zamachem godność ludzką i godność narodową, bo nie ma jednej bez drugiej. Może dlatego nie możemy o tym wszystkim nie pamiętać i pewnie już nigdy nie będziemy mogli.

KLUSKI Z MAKIEM

Zauważyliście — powiedziała moja żona — jak trudno jest żyć na świecie osobom obdarzonym delikatnością uczuć. O ileż łatwiejsze życie mają ludzie gruboskórni i nie mający żadnych względów dla innych, nie baczący na to, że ilekroć się poruszają, następują komuś na nagniotki, a nawet wbijają nóż w serce tym, którzy są im najżycielsi. Takim jest najlepiej, są ogromnie z siebie zadowoleni, cieszą się doskonałym apetytem — mój drogi, może już dość zjadłeś tego pasztetu — i zasypiają kamiennym snem bez żadnych proszkow.

Cofnąłem widelec, którym sięgałem właśnie po kawałek zajęczego pasztetu, a moja żona mówiła dalej:

— Żyjemy bowiem w czasach, w których liczy się przede wszystkim skuteczność działania, a nie przymioty charakteru i umysłu. Dlatego to współczesna literatura, film i teatr wypełnione są brutalnością, cynizmem i ekshibicjonizmem, a najwyższe zdumienie budzą uczucia proste jak miłość, prawość, wierność, lojalność, wdzięczność i dobroć. Można powiedzieć, że sztuka współczesna sonduje aż do dna głębin ludzkiej podłości, ale nie zdobywa się na odkrywanie szczytów ludzkiej szlachetności. Co wy na to?

Zdania były podzielone i wywiązała się dyskusja, w której obrońcy współczesnej sztuki wskazali na jej zasługi w wprowadzeniu języka absolutnej szczerości.

— Wiem, co macie na myśli — powiedziała moja żona. — Waszym zdaniem, słowami można wszystko wyrazić, wszystko można powiedzieć i wszystko wytłumaczyć. Tymczasem wcale tak nie jest i mogłabym wam opowiedzieć o wydarzeniu, które świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Spotkało ono człowieka odznaczającego się subtelnością umysłu i wrażliwością serca, który mimo to nie mógł powiedzieć ani słowa na wyjaśnienie sytuacji, w jakiej się znalazł, mimo że była ona o niebo prostsza od wszystkich tych, jakimi raczy nas współczesna twórczość literacka. Ale dzisiaj tylko zawiłe historie są w modzie, więc może lepiej będzie, jeśli zagramy w brydża.

Wtedy wszyscy zaczęli się domagać, żeby moja żona opowiedziała tę dawną historię.

— Nie mogę opowiadać ciągle dawnych historii — powiedziała moja żona — bo wszyscy pomyślą, że mam Bóg wie ile lat. Historia, którą wam opowiem, wydarzyła się w czasie ostatniej wojny, co i tak jest dostatecznie dawno jeśli się zważy, że żyjemy w takiej epoce, kiedy to po raz pierwszy w dziejach cywilizacji wzorem do naśladowania w sposobie bycia, w modzie, uczesaniu, gustach nie są ludzie pełni doświadczenia, smaku i mądrości, lecz nastolatki. Kiedy byłam nastolatką, robiłyśmy wszystko, żeby wyglądać tak,

jak nasze mamy, a dzisiaj nasze mamy robią wszystko, żeby wyglądać jak nastolatki. Osobiście nie mam nic przeciwko temu i mogłabym wam powiedzieć dlaczego, ale jak zaczniemy odbiegać od tematu, to nigdy nie opowiem tego, co mam do opowiedzenia.

Wszyscy zamieniliśmy się w słuch, a wtedy moja żona zaczęła tak:

— Otóż ów młody człowiek, którego z pewnych względów nazywać będę moim kuzynem, znalazł się w czasie wojny w Londynie wskutek wydarzeń, za które nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Po różnych i licznych perypetiach, które nie mają jednak z tą historią nic wspólnego, znalazł wreszcie kątek u starszej, samotnej wdowy w okolicach Baker Street, gdzie do dziś dnia rozciąga się dzielnica niewielkich domków i zacisznych uliczek. Mój kuzyn był człowiekiem pod każdym względem ujmującym, toteż wkrótce rozbudził w samotnej staruszce niewyżyte uczucia macierzyńskie. Pocziwa dama znalazła dla nich wyraz w postaci ogromnego talerza klusek domowej roboty obficie posypanych makiem, jaki co niedzielę wносиła wieczorem do pokoju młodzieńca, stawiała na stole i podziwiała przez chwilę rozczulonym spojrzeniem, zanim nie wycofała się dyskretnie z poczuciem spełnienia dobrego uczynku.

Czasy były ciężkie. Anglia przeżywała najtrudniejszy okres hitlerowskiego "blitzu", Londyn był ciemny, chłodny i głodny, więc taki talerz klusek z makiem byłby przez każdego innego człowieka

oczekiwany z utęsknieniem przez cały tydzień, przez każdego innego, ale nie przez mojego kuzyna. Albowiem jedyną rzeczą, której mój kuzyn nie znosił z całego serca i na sam widok której robiło mu się słabo, były właśnie kluski z makiem. Mój kuzyn, jak już powiedziałam, był człowiekiem o wielkiej delikatności uczuć, toteż za nic w świecie nie zdobyłby się na zrobienie przykrości zacnej staruszce dając jej do zrozumienia, że nie cierpi nade wszystko klusek z makiem, które ona z taką troskliwością robiła mu co niedzielę i z taką dumą wносиła wieczorem do pokoju. Mój kuzyn był, jak wszyscy ludzie wrażliwi, obdarzony dostateczną wyobraźnią, by odgadnąć, ile przyjemności musi sprawiać staruszce myśl, że kluski z makiem mu smakowały, że może nawet przyśnią mu się w ciągu tygodnia i że ona znowu mu ich narobi w przyszłą niedzielę. Jako człowiek nie tylko czuły, ale i inteligentny, mój kuzyn pojął od razu, że w tym smutnym, wojennym Londynie nie były to zwyczajne kluski z makiem, ale że stały się dla samotnej staruszki manifestem ludzkiej solidarności, aktem wiary i nadziei, sensem życia. Nie, nie mógłby w żaden sposób powiedzieć staruszce po prostu, że nie cierpi właśnie klusek z makiem, tych klusek z makiem, w które ona wkładała całe swoje serce.

Toteż mój kuzyn nie powiedział jej, że na sam widok klusek z makiem robi mu się słabo, tylko zawijał kluski z makiem w starą gazetę, wynosił ukryte pod płaszczem i w jakiejś pustej i ciemnej uliczce wrzucał do

kanalu. Nazajutrz wychwalał je pod niebiosa przed biedną staruszką i serce mu się krajało, kiedy widział, jaki wyraz mają jej oczy.

Moja żona przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, a nam się wydawało, że dostrzegamy wyraz, jaki przybierały oczy staruszki, kiedy wychwalano pod niebiosa jej kluski z makiem, jedyny udział, jaki mogła wnieść do tej świętej wojny.

— Aż pewnego wieczoru — podjęła opowiadanie moja żona — kiedy mój kuzyn wyszedł z domu z owiniętymi w gazetę kluskami z makiem, na miasto spadła mgła tak gęsta, że nie było nic widać na parę kroków. Mój kuzyn rozejrzał się jak zwykle wokoło, nigdzie nie było żywej duszy, więc wyjął spod płaszcza zawiniątko i wsunął w otwór kanalizacyjny. Kiedy się wyprostował, poczuł na ramieniu czyjaś rękę. Odwrócił się i ujrzał, że stoi przy nim londyński "bobby".

"Przepraszam — powiedział policjant. — Czy mogę zapytać, co pan tam wrzucił?"

Wtedy mojemu kuzynowi odjęło mowę. Błyskawicznie zdał sobie sprawę, że wszystko, co mógłby powiedzieć, byłoby głupie i pozbawione sensu, że żadne słowa nie są zdolne wyjaśnić motywów jego postępowania, że nikt zdrowy na umyśle nie pojmie, iż w czasie, kiedy londyńczycy sadzą na najmniejszym skwerze ziemniaki, ktoś wrzuca do kanału ogromny talerz klusek z makiem tylko dlatego, żeby nie zrobić przykrości starej kobiecie, u której wynajmuje nie ogrzewany pokój.

"Jeśli tak — powiedział 'bobby' nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi — to pan pozwole ze mną". I zaprowadził mojego kuzyna do komisariatu, gdzie zdał ze wszystkiego dokładną relację sierżantowi.

"Więc odmawia pan odpowiedzi na pytanie, co pan tam wrzucił?" — zapytał sierżant. Był to starszy już człowiek o szpakowatych skroniach.

Mój kuzyn uśmiechnął się smutno i bezradnie. Cóż mógł powiedzieć? Sytuacja, w jakiej się znalazł, była tak bezsensowna, że płakać się chciało.

"Tak na oko, panie sierżancie — powiedział 'bobby' — to mógł być noworodek."

Sierżant popatrzył na mojego kuzyna podejrzliwie.

"Albo jeszcze coś gorszego — powiedział. — Mówiliście, że jakieś papiery?"

Na moim kuzynie skóra ścierpła. Uprzytomnił sobie nagle, że jest wojna, że znajduje się, cudzoziemiec, w obcym mieście, pełnym afiszów ostrzegających przed szpiegami i dywersantami, że gębę ma zatkaną tymi cholernymi kluskami z makiem, których nie cierpiał od dziecka, że nawet gdyby powiedział prawdę, to nikt by mu nie uwierzył w ani jedno słowo, chyba żeby sięgnęli do komisariatu także staruszkę, a to byłoby najgorsze ze wszystkiego, co mogłoby go spotkać, wolałby już, żeby go zamknęli od razu, niż żeby miał się przyznać przed nią do wszystkiego.

"Dobrze — powiedział sierżant. — W takim razie przystępujemy do akcji..." — Podszedł energicznie do wiszącego na ścianie planu dzielnicy, nakreślił na nim jakiś kwadrat, podniósł słuchawkę i zarządził alarm. Kazał zablokować, szukać sporego pakunku owiniętego w gazetę, meldować o przebiegu, a w razie natrafienia na poszukiwany obiekt, przynieść.

"A wy — zwrócił się do policjanta, który przyprowadził mojego kuzyna — doprowadzicie tę starszą damę, u której mieszkał ten dżentelmen. Może od niej czegoś się więcej dowiemy."

Mój kuzyn począł sobie niemal życzyć, żeby znaleziono w kanałach jakiś dowód zbrodni albo zdrady, kiedy czekał wraz z doprowadzoną staruszką, która oczywiście nie umiała niczego powiedzieć, bo do głowy jej nie przyszło, żeby to wszystko mogło mieć jakikolwiek związek z jej wychwalanymi pod niebiosa kluskami z makiem, więc nawet nie była tak bardzo przejęta i przez cały czas pocieszała mojego kuzyna, że to jakieś nieporozumienie, które się za chwilę szczęśliwie wyjaśni.

"Całe szczęście — powiedziała — że zjadł pan przed tym wszystkim talerz pożywnych klusek z makiem."

Sierżant zastrzygł uszami. Mój kuzyn miał minę, jakby już siedział na elektrycznym krześle, i za chwilę omal nie zemdłał, kiedy wszedł policjant i położył przed sierżantem owinięty w gazetę pakunek, w którym nie mogło być nic innego, jak to co w nim było.

Wtedy mój kuzyn zdał sobie po raz pierwszy sprawę z istnienia okrutnych stron życia.

Sierżant uchylił brzegu zawiniątka i przez chwilę na jego obliczu malował się wyraz najwyższego zdumienia. Potem popatrzył na mojego kuzyna, później na staruszkę, potem znów na mojego kuzyna, i znowu na staruszkę, powtórzył to z dziesięć razy, wreszcie wstał, wziął zawiniątko i wrzucił je do kosza.

"To tylko stare gazety — powiedział. — Przepraszam pana za nieporozumienie. Jest pan wolny. Proszę nam wybaczyć, ale sam pan rozumie."

Mój kuzyn nic nie rozumiał.

Sierżant odprowadził staruszkę i mojego kuzyna do samych drzwi, życząc im dobrej nocy, a kiedy już odchodzili, przypomniał sobie:

"Pański dowód osobisty!"

Mój kuzyn wrócił po swój dowód. Komisarz wręczył mu go i wakazując na kosz powiedział tak cicho, że mój kuzyn nie był nigdy pewny, czy się nie przesłyszał:

"Ja też tego nie cierpię..."

Potem mój kuzyn wracał ze staruszką do domu, trzymając ją pod rękę. Po drodze powiedziała mu, żeby się nie przejmował niezgrabiarstwem policji, która jest z roku na rok gorsza, i obiecała, że w przyszłą niedzielę znów mu zrobi klusek z makiem. Wtedy mój kuzyn zdał sobie po raz pierwszy sprawę, jak bardzo okrutne i dobre strony życia są ze sobą pomieszane.

BABIE LATO

Były Święta i po kolacji zasiedliśmy przed telewizorem. Królowa naszej telewizji przeprowadzała właśnie rozmowę ze znaną aktorką i jak to zwykle bywa, kiedy kobiety produkują się publicznie, któraś z nich musiała w końcu potrącić o swój wiek. Tak się też stało, a wtedy moja żona wstała, podeszła do telewizora i nacisnęła wyłącznik. Zaprotestowaliśmy wszyscy, jako że rozmowa na małym ekranie zaczynała być nareszcie interesująca, więc moja żona powiedziała:

— Nie mogę znieść, kiedy kobiety nie mające do tego prawa kokietują swoimi latami. Do tego mają prawo tylko naprawdę stare kobiety, a takich już od dawna nie spotkałam, z wyjątkiem dwóch albo trzech, które miałyby do tego prawo, ale nigdy tego nie robią, bo już im nie zależy na tym, żeby im zaprzeczano.

— Cóż chcesz — powiedziałem. — Same jesteście tego powodem. Jest rzeczą naukowo dowiedziona, że w normalnych warunkach każda prawidłowo ukształtowana kobieta reaguje na widok drugiej najpierw wykrzyknikiem, a potem pytajnikiem.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — rzekła moja żona. — Wykrzyknik to "ale się wystroiła!" a pytajnik "ile ona ma naprawdę lat?"

— Coś w tym rodzaju — odpowiedziałem zadowolony z siebie.

— I jesteś, jak widzę, ogromnie z siebie kontent.

— Uhum — mruknąłem, bo rzeczywiście byłem z siebie kontent.

— No właśnie — powiedziała moja żona. — A do głowy ci nie przyszło, że to nie my, lecz wy jesteście tego powodem.

Mężczyźni zaprotestowali chórem, więc mogłem się nie odzywać więcej. Święta upływały miło i nie miałem żadnej ochoty narażać się niepotrzebnie.

— Ach, tak — powiedziała moja żona. — Więc panowie władcy świata nie rozumieją, że nie postępowałybyśmy w ten sposób, gdyby każdy z was nie oglądał się na ulicy za pierwszą lepszą dobrze ubraną i młodo wyglądającą kobietą.

Jeśli kobieta jest dobrze ubrana i wygląda młodo, to nie jest pierwszą lepszą — odezwał się mój przyjaciel.

— O, o, o, — powiedziała moja żona. — Typowo męski punkt widzenia. I potem co tu się dziwić, jeśli kobiety znajdują powody, żeby się wzajemnie zniszczyć w oczach tych panów. Mój mąż miał ciotkę, która miewała powody do zazdrości, ale nie robiła nigdy żadnych scen, tylko mawiała słodziutko: "Bodziu, bardzo miła ta twoja nowa znajoma, tylko jej powiedz, że kiedy ma się taki duży nos, to się nie nosi takich małych kapeluszy". Była to bardzo mądra dama i w ten sposób dawała sobie radę ze wszystkimi problemami, jakich każdej z nas nastreczają inne kobiety, do których nie należy mieć zresztą pretensji, bo wszystko to dzieje się wyłącznie z winy mężczyzn.

Każda z nas ma i bez tego dosyć zmartwień i miałaby ich dostatecznie dużo, nawet gdyby była jadyną kobietą na świecie. Czyż można na przykład porównać z czymkolwiek przerażenie, jakie odczuwa każda kobieta na widok pierwszej zmarszczki? Chyba tylko ze strachem, jaki mężczyźni bezustannie przejawiają o swoje życie. No bo powiedzcie, czyż nie boicie się okropnie o swoje życie? A czy widział ktoś kobietę, która by się tak bała o swoje życie?

Panie przyklasnęły jednomyślnie, a panowie siedzieli jak struci, bo nie było wśród nas nikogo, kto by był na tyle świnia, żeby zaprzeczyć.

Moja żona powiodła po nas spojrzeniem pełnym pobłażania, po czym powiedziała:

— Tak, każda z nas przeżywa, przeżywała lub przeżyła chwilę strachu przed zmarszczkami. Jeśli o mnie chodzi, to przeżyłam taką chwilę, kiedy byłam młoda, i mam to już za sobą. Od tego czasu już mnie byle co nie potrafi przestraszyć. To było tak, jak wieczór w samo południe, albo jak babie lato w pełni wiosny i teraz mogłabym już o tym mówić zupełnie swobodnie. Ale pewnie te panie przestały już rozmawiać i można by zapalić telewizor.

Lecz mowy być już nie mogło o włączeniu telewizora, bo panie chciały koniecznie usłyszeć, jak to było, więc moja żona powiedziała:

— Spodziewałam się wówczas dziecka i jak każda przyszła matka byłam tym całkowicie pochłonięta, toteż kiedy nadeszło lato, zaproponowałam mężowi,

żeby pojechał sobie sam nad morze i dobrze wypoczął przed wszystkim, co go czeka. Mąż mój opierał się tak stanowczo, że zaraz było widać, jak bardzo mu się uśmiecha taki kawalerski urlop, toteż byłam zupełnie spokojna o ostateczny wynik. I w parę dni później mąż mój wyjechał, strojąc smutne miny, pod którymi starał się ukryć nieudolnie uciechę z perspektyw, jakie sam przed sobą roztaczał. Udawałam, że tego nie dostrzegam, jako że kobiety, mając od stworzenia świata do czynienia z mężczyznami i z dziećmi, zostały wyposażone przez naturę w wyrozumiałość, pobłażliwość i zdolność do poświęceń. Za to mężczyźni nigdy nie wiedzą dobrze, czego chcą, toteż wkrótce od mego męża zaczęły napływać listy, najpierw zwykłe, potem polecane, później ekspresowe, wreszcie depesze z opłaconą odpowiedzią, domagające się coraz natarczywiej, abym do niego przyjechała. Był to oczywisty brak konsekwencji z jego strony, ale ponieważ żadna rozumna żona nie oczekuje konsekwencji od swego męża, zapakowałam walizkę i żeby raz z tym skończyć, wyjechałam najbliższym pociągiem.

Był to pociąg nocny i jakimś cudem udało mi się dostać miejsce w wagonie sypialnym. W przedziale było okropnie gorąco, wentylacja nie działała, okno nie dawało się ani rusz otworzyć i jechała w nim jakaś pani z dzieckiem, które marudziło przez całą noc, tak że nie zmrużyłam oka. Ja już mam takie szczęście, że ile razy wsiałam do slipingu, to mam w przedziale matkę z

płaczącym przez całą noc dzieckiem. Była tam jeszcze jakaś starsza, całkiem siwa dama, która zносиła wszystko ze stoickim spokojem, drogo okupionym siwiuteńkimi włosami, jakiego nie można było jednak wymagać od młodej kobiety, spodziewającej się dziecka, nie mającej czym oddychać i jadącej wbrew swej woli nad morze do zbzikowangeo męża.

Tu moja żona popatrzyła na mnie z wyrzutem tak świeżym, jakby od tamtych czasów nie upłynęło już dwadzieścia lat i jakby ciągle jeszcze jechała w tym przedziale, w którym wietrznik nie działał, okno nie dawało się otworzyć, dziecko płakało przez całą noc, a ona nie mogła sobie miejsca znaleźć na pościeli mimo przekładania poduszek w coraz to inne okolice.

— Wreszcie — powiedziała żona — konduktor zapukał kluczem w drzwi i oznajmił, że dojeżdżamy. W przedziale zrobiło się naraz bardzo ciasno, bo każda z nas starała się dokonać jakichś zabiegów toaletowych, a przez uchyloną firankę widać było przesuwające się sosny, złote od porannego słońca. Spojrzałam w lusterko i w świetle dnia ujrzałam w nim obraz nędzy i rozpaczki: szara cera, podkrażone oczy, obrzękły nos, bruzdy wokół ust, zwiedłe powieki i jakieś zmarszczki, których nigdy przedtem nie było. Wyglądałam okropnie i było jasne, że żadne zabiegi tu nie pomogą, byłam brzydka, byłam stara i brzydka. Jasne, słoneczne pląże migotały za uchyloną firanką, a ja siedziałam z opuszczonymi rękami ogromnie nieszczęśliwa i zdawałam sobie powoli sprawę z katastrofy, jaka mnie

spotka. Nigdy nie wysiadę z tego pociągu w takim stanie, nie pokażę się na oczy mężowi, który pewnie teraz biega w szortach i koszulce z krótkimi rękawami po peronie pośród świeżych i opalonych dziewcząt, wypatrując tej, którą lekkomyślnie poślubił, zostanie w pociągu, który dojechał do końcowej stacji i za godzinę odjedzie z powrotem, w domu zaciągnę story, położę się do łóżka i wypłaczę za wszystkie czasy. Moje sąsiadki wyszły z przedziału, a ja ciągle siedziałam bez ruchu, nie odważając się spojrzeć więcej w lusterko. Od peronu dobiegały radosne okrzyki powitań, które rozdzierały mi serce. Poczułam nagle, że mam sto lat.

Wtedy ta siwa dama wróciła do przedziału po jakiś zapomniany drobiazg. Przyjrzała mi się bystro, usiadła naprzeciwko i zapytała: "Co pani jest? Źle się pani czuje?"

Poruszyłam przecząco głową, usiłując powstrzymać łzy.

"Nie wysiada pani? Pociąg już dalej nie jedzie."

Znów poruszyłam przecząco głową.

"Nikt pani nie oczekuje?"

Wtedy nie mogłam już dłużej i wybuchłam:

"Właśnie! Proszę uchylić firankę, a zobaczy pani na pewno młodego, opalonego człowieka, co lata jak wariat po całym peronie i oczekuje mnie. A teraz proszę spojrzeć na mnie. Jak ja wyglądam! Nie chcę, żeby widział, że jestem stara i brzydka, i że mam zmarszczki!"

"No, no, no — powiedziała siwa dama, udając, że mi się przygląda. — Nie jest tak tragicznie. Jest pani oczywiście trochę zmęczona tą podróżą, a poza tym żadna kobieta nie przedstawia się od najlepszej strony o godzinie siódmej rano. Zresztą mężczyźni nie są wcale tacy spostrzegawczy, jak nam się wydaje. Najlepszy dowód, że zapytani, co miała na sobie jakaś pani, na której temat nie mają słów, nie potrafią powiedzieć niczego sensownego. Zawsze podejrzewałam, że im się w nas podoba wcale nie to, do czego my skłonne jesteśmy przywiązywać największą wagę. Dlatego nawet pani nie namawiam, żeby przypudrować trochę nosek, gdyż nie ma to w gruncie rzeczy najmniejszego znaczenia."

Ujęła mnie za dłonie, przyciągnęła lekko ku sobie i powiedziała:

"A teraz proszę posłuchać: nie trzeba bać się zmarszczek ani starości, gdyż nie ma w tym nic strasznego. Jestem już stara i mogę pani powiedzieć, że każdy wiek ma swoje wartości. Wsiądziemy teraz obie z wagonu i będziemy uśmiechnięte, bo ten starszy, siwowłosy pan na peronie oczekuje mnie z taką samą niecierpliwością, co panią ten młody człowiek, który lata rzeczywiście jak wariat po całym peronie. Przekona się pani, że kiedy panią zobaczy, będzie szczęśliwy, a nawet zachwycony."

Moja żona przerwała na chwilę i zamyśliła się, uśmiechając się leciutko do tamtego wspomnienia, które trwało ciągle w blasku młodego słońca, złocącego

pnie sosen i nadmorskie piaski, jakby nigdy przeminać nie miało.

— No i jak było? — zapytał mój przyjaciel.

— No i tak właśnie było — odpowiedziała moja żona. — Wierzcie mi, że tak właśnie było.

Podeszła do telewizora i nacisnęła klawisz. Szedł film z serii "Święty", ale może mi się tylko tak wydaje, bo myślałem o czym innym.

MANTYLKA

Niedziela — powiedziała moja żona — jest jedynym dniem w tygodniu, kiedy można zebrać całą rodzinę przy stole, bo w dniu powszednie każdy przychodzi na posiłki o innej porze, jakby to nie był dom, tylko bufet dworcowy. Dlatego proszę was, zachowujcie się rodzinnie i nie wydzierajcie sobie frytek, bo chociaż dla wszystkich was mam tyle samo serca, nie dla każdego z was mam tyle samo cierpliwości, i czuję, że się zaraz na kimś to skrupi.

Oczywiście nikt poza mną nie wziął tego do siebie, a moi synowie powiedzieli tylko:

— E, bo mama zawsze...

— Mógłbyś choć raz — powiedziała wtedy moja żona, zwracając się do mnie wprost — stanąć po mojej stronie i pomóc mi w wychowaniu dzieci. Ale ty wolisz udawać, że to do ciebie nie doszło.

— Zajęty byłem myślami — odpowiedziałem. — Sytuacja międzynarodowa robi się coraz bardziej niepokojąca.

— A poza tym — powiedzieli moi synowie — najmłodsze z obecnych tu dzieci ma dziewiętnaście lat.

— No i co z tego? — powiedziała moja żona. — Sytuacja międzynarodowa niepokoi mnie także, a jednak nie przeszkadza mi to w spełnianiu podstawowych obowiązków, z których jednym jest dla rodziców wychowywanie dzieci bez względu na to, ile

lat maja. Ale mężczyźni wolą zajmować się wszystkim, tylko nie myśleniem o szczęściu najbliższych, a zwłaszcza żony. Musi to być dziedziczne, bo przypominam sobie, że wasz pradziadek zachował się podobnie w pewnej sytuacji, która tylko pozornie nie ma nic wspólnego z tą, jaka wytworzyła się przy tym stole. Mogłabym wam o tym opowiedzieć, gdybyście przestali kopać się porozumiewawczo pod stołem, a zaczęli nareszcie zachowywać przyzwoicie.

— Dlaczego ty masz to opowiadać? — zapytałem.
— Przecież to był mój dziadek.

Moja żona patrzyła na mnie z wyrozumiałością, po czym powiedziała:

— Mój drogi, przegadałam wiele godzin z twoją babką, a potem z twoją matką i pamiętam, że i jedna, i druga skarżyła się, że nie miałaś nigdy czasu na wysłuchanie wszystkiego, co miały do powiedzenia, a wierzaj mi, kobiety mają o wiele więcej do powiedzenia, niż się wam wydaje. Dlatego wątpię, czy mógłbyś opowiedzieć cokolwiek z tego, co ja od nich usłyszałam, a czego ty nigdy nie umiałeś ani wysłuchać do końca, ani zapamiętać, jak należy. Dlatego pozwolisz, że ilekroć zajdzie potrzeba, będę opowiadała o twoich dziadkach i o twoich babkach, a także o wydarzeniach, jakie im się przytrafiły. Wydarzenia te są nie tylko zajmujące, ale i pełne głębokiego sensu, który trzeba umieć należycie wydobyć, a to jest już przywilejem kobiet, tych jedynych powiernic nie pisanej historii.

Usiłowałem znaleźć w tym rozumowaniu coś, do czego można by się przyczepić, ale tymczasem moi synowie zawołali:

— Opowiadaj, mamó opowiadaj! — i ja sam byłem ciekaw usłyszeć, jak zachował się mój dziadek po kądzieli w sytuacji, tylko pozornie nie mającej nic wspólnego z tą, jaka wytworzyła się przed chwilą przy stole.

— Działo się to — powiedziała moja żona — w czasach, kiedy nikogo z tu obecnych nie było jeszcze na świecie, a nawet można powiedzieć, kiedy nikomu jeszcze się nawet nie śniło, że osoby tu obecne będą kiedyś na świecie. Wasz pradziadek był wówczas w kwiecie wieku i jak każdy mężczyzna nie wyobrażał sobie życia bez wyrażenia odmiennej opinii o wszystkim, co myślała, mówiła i czyniła jego żona, a wasza prababka. Mieszkali oboje w samotnym, dużym domu na stoku wzgórza, z którego widać było leżące w dolinie miasteczko, a nad nim ruiny zamczyska Herburtów na wysokiej, zalesionej górze. Obok domu biegła prosto jak strzełił szosa aż do Przemyśla, odległego o dwadzieścia pięć kilometrów. Wasz pradziadek był drogomistrzem i odpowiadał za ten odcinek szosy, który widać było z domu aż po kres horyzontu, poza którym w samym Przemyśle przebywały na seminarium nauczycielskim obydwie córki, z których jedna stała się później waszą babką. Pamiętam dobrze ten dom, bo tam poznałam waszego ojca, ale wtedy wasz pradziadek był już starym

człowiekiem. Kiedy widziałam go po raz ostatni, siedział na ławeczce przed domem i nawoływał: "Hanka! Anielka! Hanka!" Ujrzawszy mnie, powiedział z goryczą: "Wołam i wołam, żadnia się nawet nie ruszy, a ja już od godziny patrzę, jak ta krowa ten szczep żre..." Jak z tego widać, pradziadek przybrał na starość postawę obserwatora, ale w czasach, o których wam opowiadam, był człowiekiem czynnym i stanowczym, czego między innymi doświadczyła na sobie wasza prababka.

Moja żona przerwała na chwilę, a ja skorzystałem z tego, żeby raz jeszcze zobaczyć dziadka, siedzącego na ławeczce przed domem w starej maciejówce, i szczupłą, smagłą dziewczynę o dużych oczach, która miała zostać później moją żoną.

— Pewnego dnia — mówiła dalej moja żona — wasza prababka doszła do wniosku, że musi kupić sobie nową mantylkę. Mężczyźni na ogół nie lubią takich wniosków, gdyż są zatwardziałymi konserwatystami, odnoszącymi się niechętnie do wszelkich zmian w stanie wyposażenia swych żon. Toteż wasz pradziadek wysunął szereg zastrzeżeń, od niesprzyjającej pogody zaczynając, a na kiepskim stanie bryczki kończąc. Kobietom jednak najtrudniej wybić z głowy postanowienie kupienia sobie czegoś nowego, co tłumaczy się zresztą tym, że jest to jedyne postanowienie, którego słuszność i zasadność nie mogą ulegać najmniejszej wątpliwości. Toteż skończyło się na tym, że zaprzęgnięto do bryczki siwego konia, który

nazywał się Wicek, i wasza prababka pojechała do Przemyśla. Wróciła późnym wieczorem, bardzo zmęczona, ale szczęśliwa, bo kupiła śliczną mantylkę. Zaraz też zaczęła ją przymierzać nie bacząc na późną porę i domagać się od waszego pradziadka tego, co jest świętym prawem każdej żony, a mianowicie afirmacji. Wasz pradziadek przyglądał się waszej prababce w mantylce krótką chwilę, po czym powiedział: "Cóżes ty kupiła? To ma być mantylka? To?"

— W takiej sytuacji kobietę łatwo zbić z pantałyku, jako że kupno czegokolwiek, a zwłaszcza nowej mantylki, jest wynikiem procesu wahań, rozterek, zwątpień i niepewności o wiele poważniejszych niż przy decyzji wyboru męża, nad którą kobiety nigdy się poważnie na wasze szczęście nie zastanawiają. Toteż wasza prababka od razu wpadła w skrajną rozpacz i wyznała, że tam była inna mantylka, która jej się o wiele bardziej podobała, tylko że sprzedawczyni tę w nią wmówiła, a na koniec wasza prababka postanowiła, że nazajutrz rano pojedzie znowu do Przemyśla i wymieni tę nieszczęsną mantylkę na tamtą, która jej się tak podobała.

— Wasz pradziadek nie mógł w tej sytuacji niczego wskórać, toteż nazajutrz zaprzęgnięto o świcie Wicka do bryczki i wasza prababka pojechała pełna otuchy do Przemyśla. Wróciła późnym wieczorem, zmęczona, ale szczęśliwa, w nowej mantylce. Pokazała

ją waszemu pradziadkowi z wielką radością, a wasz pradziadek popatrzył na nią krótko i powiedział:

"Eeeee, wołałem już tamtą."

Wtedy wasza prababka przyjrzała się raz jeszcze kupionej mantylce, przypomniała sobie tamtą i poczęła rozpaczać, wołając, że pierwszy wybór jest zawsze najlepszy i że nie pozostaje jej nic innego, jak pojechać nazajutrz z powrotem do Przemyśla i wymienić tę mantylkę na tamtą.

Tak też się stało. Wasz pradziadek zaczął mieć już tego dość, bo jak każdy mężczyzna nie znosił, kiedy żony nie ma w domu, a waszej prababki nie było już w domu trzeci dzień. Im bliżej wieczora, tym wasz pradziadek robił się bardziej zły i nie było wcale wykluczone, że znowu czegoś takiego nie powie na temat mantylki, czego będzie potem żałował. Ale wasza prababka nie wróciła wieczorem i wasz pradziadek domyślił się, że musiała zostać u córek, nie tyle ze względu na siebie, co na Wicka, który tych podróży waszej prababki do Przemyśla musiał mieć jeszcze bardziej dość niż wasz pradziadek. Nazajutrz rano wasz pradziadek był już niemal pewien, że znowu wyrazi się nieprzychylnie o mantylce, bez względu na to, jaka ona będzie. Łaził z kąta w kąt, wreszcie, żeby zabić czas, postanowił zajrzeć do studni, którą zaczęto kopać, a w której mimo fachowej opinii różdżkarza woda nie chciała się pojawić. Opuścił się na dno przy pomocy sprytnego urządzenia składającego się z deski zawieszanej na przesuniętej przez blok i zaopatrzonej

w odpowiedni przeciwciężar linie, ale ponieważ przykrości chodzą zawsze parami, uczynił to tak nieszczęśliwie, że jedno odczepiło się od drugiego i wasz pradziadek znalazł się na dnie studni w towarzystwie liny, deski i ciężarka, ale bez możliwości wydostania się z powrotem na górę. Toteż wasz pradziadek przesiedział tam cały dzień, wałając od czasu do czasu, choć wiedział, że nikt go nie może usłyszeć, a nawet gdyby go ktoś usłyszał, to uciekłby w popłochu, bo głos waszego pradziadka dochodzący z najgłębszej studni, jaką w życiu widziałam, musiał mieć w sobie coś przerażającego.

Wreszcie o zachodzie słońca wasza prababka zajęchała co koń wyskoczy na podwórze. Wtedy wasz pradziadek zaczął wołać co sił w płucach. Wasza prababka słuchała przez chwilę tego głosu z zaświatów, po czym podeszła do studni i spojrzała w dół. Nie ulegało wątpliwości, jej małżonek był tam, na dnie.

"Wymieniłam mantylkę! — zawołała wasza prababka. — Tym razem na pewno ci się spodoba."

"Wyciąg mnie stąd!" — zawołał wasz pradziadek.

Wasza prababka nachyliła się nad studnią, ile się tylko dało.

"Popatrz — krzyknęła. Prawda, jaka ładna?"

Wasz pradziadek widział waszą prababkę na tle gorejącego nieba, jakby patrzył na nią przez odwrotny koniec ogromnej lunety.

"Prawda, że ładna? No powiedz, podoba Ci się?"

"Podoba! — wrzasnął wasz pradziadek. — To naprawdę ładna mantylka. I ogromnie ci w niej do twarzy."

"Bardzo się cieszę — powiedziała wasza prababka. — Ale powiedz, co ty tam robisz w tej studni? Nie trzeba ci czegoś?"

"Wyciąg mnie stąd! — jęknął wasz pradziadek. — Weź ze stajni linę, przesunij przez bloczek i spuść oba końce do mnie! Siedzę tu od rana!"

"Zaczekaj chwilkę — powiedziała wasza prababka. — Tylko zdejmę mantylkę. Tyle mnie trudu kosztowała, że nie chciałabym jej pobrudzić. Ale warto było, prawda jest śliczna?"

Moja żona przerwała i zapaliwszy papierosa dała do zrozumienia, że opowieść skończona. Po czym zwróciła się do moich synów i powiedziała:

— Każdy z was ożeni się kiedyś i będzie na swój sposób unieszczęśliwiał jakąś nieboraczkę. A moglibyście tego uniknąć. Jak dziwnym wydać by wam się to mogło, macie jednego ojca, dwóch dziadków, czterech pradziadków, i ośmiu pra-pradziadków. Należałoby skorzystać z doświadczeń takiej masy ludzi. Toteż nieraz jeszcze będę wam o nich opowiadała. Odniesiecie z tego większą korzyść niż z tych rozmów o samochodach, które prowadzicie, kiedy tylko wyjdę z pokoju. No a teraz posprzątajcie ze stołu.

KOREK

Obchodziliśmy Srebrne Wesele i toastom nie było końca. Małe grono najbliższych przyjaciół zachowywało się tak, jak należy się w takich okolicznościach zachować, to znaczy używało sobie na nas jak pies w studni, a ktoś nawet powiedział, że to zupełnie nienormalne, żeby dwoje ludzi mogło ze sobą tak długo wytrzymać.

— To tylko dzięki mojemu anielskiemu usposobieniu — powiedziała moja żona. — W małżeństwie ktoś musi w końcu schować pazury, a przeważnie przypada to słabej i biednej kobiecie, bo mężczyźni to egoiści. Konflikty i sprzeczki, jakie starają się wywołać, są pozbawione jakiegokolwiek sensu, a wiadomo, że w bezsensownych sytuacjach ustępuje zawsze mądrzejszy.

Wszyscy spojrzeli na mnie w oczekiwaniu, że odpowiem coś niestosownego, co pozwoli na podniesienie dyskusji na wyższy szczebel, ale ja nic nie powiedziałem, bo nie chciałem psuć odświętnego nastroju, a poza tym nie bardzo wiedziałem, co.

— Oczywiście — ciągnęła moja żona — zdarzają się niekiedy wyjątkowe przypadki podobne do przygody, jaka spotkała dzielnego rycerza z bajki, który wyzwolił piękną królową zwyciężając smoka, ożenił się z nią, a po kilku latach pożycia począł się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił w zapale

walki omyłki, nie zabił królowny, a nie ożenił się ze smokiem. Taka rzecz jest możliwa, bo nikt nie jest nieomylny i każdemu może się zdarzyć zrobienie głupstwa, zwłaszcza kiedy nie ma czasu dobrze się wszystkiemu przypatrzeć.

Wszyscy zgodzili się, że takie wypadki są możliwe, ale że nie należy wyciągać z nich pochopnie uogólniających wniosków:

Wtedy moja żona powiedziała:

— Przyjrzyjcie mi się dobrze i powiedzcie, czy ja mam w sobie coś ze smoka?

Nasi goście orzekli zgodnie, że moja żona nie ma w sobie absolutnie nic ze smoka, ale za to niektórzy z nich poczęli mi się jakoś natarczywie przyglądać.

— Twój mąż — powiedziała przyjaciółka mojej żony — musiał mieć dość czasu, żeby się wszystkiemu przypatrzeć.

— Żartujesz czy mówisz poważnie? — zapytała moja żona.

— Mówię poważnie — odpowiedziała przyjaciółka mojej żony.

— To masz szczęście — powiedziała moja żona — bo ja nie lubię żartów na ten temat.

Potem ktoś znów wzniósł toast na cześć ćwierćwiecza naszego pożycia. Młoda para, która pobrała się dopiero niedawno, patrzyła na nas z odrobiną przerażenia, bo na pewno zdawało jej się, że dwadzieścia pięć lat to bardzo długo.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie i moja żona też coś mówiła, gestykulując z zaciśniętą pięścią, aż jej przyjaciółka zapytała:

— Co ty tak ściskasz w tej ręce?

Moja żona usiłowała schować rękę pod stół, ale jej przyjaciółka nie dała za wygraną i wtedy wszyscy zobaczyli, że moja żona przez cały czas trzymała w zaciśniętej dłoni stary korek od szampana.

Nie trzyma się starego korka od szampana w ręce przez cały czas fetowania dwudziestopięciolecia własnego małżeństwa, toteż nasi goście zażądali wyjaśnień. Wtedy moja żona powiedziała:

— Na pewno wyda wam się to dziwne, ale dzięki temu korkowi zdałam sobie niegdyś sprawę z wielu rzeczy i do dziś dnia pomaga mi on we właściwym ustawieniu pewnych spraw, jakie niesie ze sobą życie, a zwłaszcza wieloletnie pożycie małżeńskie z człowiekiem bądź co bądź obcym i w dodatku odmiennej płci. Nie chciałabym o tym mówić, bo zabrałoby nam to kawał tak mile rozpoczętego wieczoru. Zresztą wydarzenie to nie jest ciekawe, a jeśli zachowuję je w pamięci, to tylko dlatego, że miało z powodu tego korka dość duże dla mnie znaczenie, jakiego dla nikogo z was, moi mili, mieć nie może.

Ale nasi goście domagali się, żeby koniecznie opowiedzieć im o tym starym korku od szampana, więc moja żona zaczęła tak:

— Było to dzień w dzień piętnaście lat temu, a więc równo w dziesiątą rocznicę naszego ślubu.

Przebywaliśmy wówczas w Paryżu i mieszkaliśmy w bardzo skromniutkim i źle opalonym mieszkanku w siedemnastej dzielnicy. Mój mąż postanowił, że oblejemy naszą pierwszą "okrągłą" rocznicę butelką szampana, ale jako że on ma zawsze ze wszystkim czas na ostatnie pięć minut, nie przygotował niczego i trzeba było na łapu capu szukać jakiegoś lokaliku, który znaleźliśmy wreszcie w okolicach Place Pigalle. Nie był to na pewno lokal odpowiedni od obchodzenia dziesięciolecia ślubu przez uczciwe małżeństwo, za co wina spada w całości na mojego męża, ale my chcieliśmy tylko wypić z tej okazji butelkę szampana i powiedzieliśmy sobie "tant pis", co odpowiada polskiemu "pal sześć". Usiedliśmy więc przy stoliku, jak najdalej od orkiestry, zamówiliśmy butelkę szampana i wspominaliśmy dzień po dniu te nasze dziesięć lat, jakby to był cały wiek, wszystkie dni, tygodnie i miesiące tych głupich dziesięciu lat, które wydawały nam się teraz dobre razem z latami wojny. Pewnie pod wpływem tego szampana zrobiło mi się jakoś ciepło w środku i pomyślałam, że będę zawsze pamiętać ten dobry wieczór i to, co sobie wtedy powiedzieliśmy, a żeby zachować jakiś widomy ślad tego nastroju, wzięłam ze stołu korek od naszego szampana i wsunęłam go do torebki, tak żeby nikt nie widział.

Moja żona przerwała, dotknęła palcami leżący na stole stary korek i uśmiechnęła się do własnych myśli. Może myślała o tej chwili, kiedy ów korek był jasny,

świeżutki, wilgotny i pachnący winem i kiedy wkładała go ukradkiem do torebki, tak żeby nikt nie widział.

— W pewnym momencie spostrzegłam — podjęła moja żona — że siedząca przy sąsiednim stoliku z jakimś panem urodziwa brunetka obserwuje mnie najwyraźniej w świecie. Nic tak nie działa na kobietę deprymująco, jak krytyczne spojrzenie innej kobiety. Pomyślałam sobie, że coś z moim wyglądem musi być "nie tego", i postanowiłam zaraz to sama sprawdzić, bo mężczyźni nigdy niczego nie zauważają i są w takich wypadkach do niczego. Zeszłam więc do toalety i z wielką uwagą poczęłam przyglądać się sobie w lustrze. Odkryłam oczywiście masę rzeczy, które mi się nie podobały, ale nic takiego, co mogłoby uzasadnić pełne dezaprobaty spojrzenia naszej sąsiadki. Miałam na sobie skromną, ale bardzo gustowną sukienkę, i nic mi się na twarzy nie rozmazało. Nie byłam ani stara, ani taka znowu brzydka. A jednak coś musiało nie klapować, skoro tamta tak jakoś dziwnie na mnie patrzyła. Wzięłam się więc ze zdwojoną uwagą do badania mego odbicia w lustrze.

Po chwili usłyszałam na schodach kroki kogoś, kto nosi pantofle na bardzo wysokich i bardzo cienkich szpilkach. Obejrzałam się i ujrzałam urodziwą brunetkę z sąsiedniego stolika. Podeszła do umywalki i poczęła myć ręce. Potem spojrzała na mnie tym samym wzrokiem co na górze, tak że znowu poczułam się głupio.

"Debiutantka?" — zapytała.

"Uhm" — wykrztusiłam, bo nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

"Cudzoziemka?"

"Uhm" — powtórzyłam z poczuciem winy.

"Tak też sobie od razu pomyślałam" — powiedziała i przyjrzała mi się jeszcze raz.

"A w ogóle jak ty wyglądasz! — powiedziała z oburzeniem. — Chodź tu!"

Podeszłam, sama nie wiedząc kiedy.

Wyjęła z torebki jakieś przybory i w mgnieniu oka "zrobiła" mi oczy, usta, rzęsy, brwi, owal, wyraz twarzy, wszystko, co jedna kobieta może przy pomocy ołówka i kredki zrobić drugiej. Przeglądnęłam się w lustrze i zamarłam z przerażenia.

"No — powiedziała — teraz jakoś wyglądasz. Pokaż, ile masz korków?"

"Korków?"

"Korków. Korków od szampana."

Wyrwała mi torebkę, otworzyła ją i wyjęła mój korek od szampana, ten jedyny korek, ten cudowny korek, w którym zawarta była dla mnie cała historia tych dziesięciu lat, dziesięciu dobrych i złych lat, które teraz wydawały mi się wszystkie dobre.

"Głupia! — powiedziała — Za każdy korek, licząc od drugiego, dykcja wypłaca ci dziesięć procent ceny szampana! Co to jest, ten twój korek, co to jest?"

Wyrwałam jej z ręki mój korek, którego nie oddałabym za nic na świecie, wybiegłam na schody i zaczęłam uciekać, jakby mnie kto gonił. Wpadłam do

szatni, porwałam mój płaszcz i wybiegłam na ulicę. Tam dogonił mnie mój mąż.

Moja żona umilkła, jakby nie miała już nic więcej do powiedzenia. Wzięła w palce stary korek i przyglądała mu się z ciepłym uśmiechem. Myśmy też patrzyli wszyscy na ten korek i dla nikogo nie był to już zwykły korek od dawno wypitego szampana.

MIŁOŚĆ

Rozmowa zesłała na miłość i panie orzekły zgodnie, że mężczyźni nie umieją jak należy okazywać swych uczuć. Wszystko, czego można od nich oczekiwać, to w najlepszym razie bukiet fiołków na wiosnę, jakiś prezencik, kiedy mają nieczyste sumienie i cium-cium na do widzenia, kiedy umówili się z kolegami. Kobiety natomiast stać na znacznie więcej. Panowie bronili się, jak mogli, ale najwyraźniej w świecie brak im było dowodów. Właśnie postanowiłem zmienić zrećznie temat, kiedy moja żona powiedziała:

— To dlatego, że mężczyźni szukają w miłości głównie zadośćuczynienia dla własnego egoizmu, podczas gdy kobiety widzą w niej podstawową instytucję społeczną, która zupełnie słusznie ochraniająca jest przez prawo. Stąd wynika cała masa konsekwencji, nad którymi nie chciałabym się jednak zatrzymywać, bo wolę opowiedzieć wam o przypadku, z którym zetknęłam się w pewnym niezwykłym miejscu, gdzie przebywałam przez jakiś czas na skutek zbiegu okoliczności. Było to schronisko dla pisarzy i artystów, malowniczo położone u stóp Alp wśród oliwek i cyprysów. Z okien widać było zalaną słońcem dolinę, od której dolatywał śpiew ptaków. Dom stał samotnie na zboczu, ale o pół godziny drogi leżało maleńkie miasteczko, zabite deskami od świata, bo zbudowane dla obrony przed Saracenami na szczycie stromej,

kamienistej góry. W tym miasteczku mieszkało niewielu ludzi, ale każdy miał swoją historię, którą warto by było opowiedzieć, gdyby nie to, że leży ono tak daleko, a jak wiadomo historii, które dzieją się daleko, przestają być prawdziwe.

Moja żona przerwała na chwilę, patrząc w okno, i widać było, że dla niej to miasteczko na skale nie leży wcale tak daleko i że widzi je jak na dłoni, za szybami, w ten szary, zimowy wieczór.

— Mieszkańcy tego miasteczka — mówiła dalej moja żona — byli równie malowniczy jak ono samo i musieli stanowić dla przypadkowych turystów zabawny koloryt lokalny. Ale ja nie byłam tam turystką, mieszkałam wśród tych ludzi i ciekawili mnie jako tacy, a nie jako tło krajoznawczych wrażeń. Mówiłam wam już chyba, że ze wszystkiego na świecie najbardziej interesują mnie ludzie. Toteż wkrótce poznałam niemal wszystkich w miasteczku, zwłaszcza że zaprzyjaźniłam się z panią Shultze, tłumaczką literatury niemieckiej, która przebywała tam już od wielu lat i ze wszystkimi była za pan brat. Pani Schultze była przemiłą i zacną osobą, ale przy lada okazji wypijała niesłychane ilości miejscowego wina na malinach i kwiatach pomarańczy, wskutek czego dość szybko robiła się do niczego. Trzeba więc było energicznie i stanowczo wykorzystywać przydatność pani Schultze, zanim nie stawało się to zupełnie bezcelowe. Nabyłam w tym dużej wprawy i osiągnęłam niezłe wyniki.

— Kiedy szło się do miasteczka od strony naszego domu, trzeba było przejść koło ogródka, w którym czasem można było dostrzec piękną starszą panią, pochyloną nad kwiatami. Kiedy dowiedziałam się, kto to jest, weszłam do ogródka i bez słowa pocałowałam ją w rękę, bo urodziła i wychowała syna, który napisał najmądrzejszą i najpiękniejszą książkę dla dorosłych "Mały Książę". Dalej trzeba było przejść koło cienistej bramy dużego domu, w której zawsze stała siwa staruszka i patrzyła przed siebie. Nosiła, jak wszyscy, duży słomiany kapelusz dla ochrony przed słońcem. Kiedy przechodziłam tamtędy po raz pierwszy, zapytała, która godzina. "Dziewiąta" — odpowiedziałam. — "Bardzo panią przepraszam — rano czy wieczór?" Wtedy dopiero zauważyłam, że jej wyblakłe oczy nie mogą widzieć tego, co widzą moje, i odtąd zawsze przystawałam koło niej i mówiłam, co widzę, a ona za to mówiła, co ona widzi i nic nie traciłam na tej wymianie. A kiedy dochodziło się do stareńskiego rynku, krzątał się tam zawsze rosły mężczyzna o pięknej brodzie i zamiętał miotłą chodniki. Kiedyś był w stolicy znanym architektem, ale doszedł do wniosku, że nie warto, i wynajął się na zamiatacza ulic w tym miasteczku, gdzie było dużo słońca, życzliwości i wina z winnic porastających wzgórze, gdzie troski były zwyczajne i na ludzką miarę skrojone, a radości proste i niedrogie. Nieco wyżej, w stronę starej wieży w ruinie stała jedyna w całej okolicy gospoda, w której zawsze można było

zastać panią Schultze, kiedy nie można jej było nigdzie znaleźć.

— Opowiadam to wszystko, żebyście wiedzieli, jakie to było dziwne miejsce, i żebyście się nie dziwili temu, co nastąpi. Bo w dziwnych miejscach lubią się dziać dziwne rzeczy, żyją w nich dziwni ludzie i wynikają z tego dziwne historie. Ta, którą opowiem, jest także dziwna, ale za to od a do zet prawdziwa.

— Kiedy zdawało mi się, że znam już wszystkich na wzgórzu i w dolinie, pani Schultze zapytała mnie pewnego razu, czy spotkałam wielkiego islandzkiego poe^{tę}, osiadłego opodal. Nie przypuszczałam, że wielki poeta z dalekiej i zimnej Północy może mieszkać tuż obok, wśród oliwek, cyprysów i drzew pomarańczowych, ale kiedy okazało się, że tak właśnie jest, zapałałam chęcią poznania go i to natychmiast. Pani Schultze przyrzekła mi, że weźmie się do tego bez zwłoki i odbyła w tym celu parę długich wypraw, z których wracała pachnąc mocno malinami i kwiatem pomarańczy, nie na tyle jednak, by przyszło zwątpić w skuteczność jej zabiegów. Wreszcie pani Schultze oznajmiła mi, że zaaranżowała upragnione spotkanie, co przyszło jej z dużym trudem, gdyż wielki poeta islandzki to odludek i nie widuje nikogo. Byłam bardzo wdzięczna pani Schultze za tyle trudu, toteż kiedy w umówionym dniu czekałyśmy na wielkiego poe^{tę} islandzkiego w gospodzie pod starą wieżą, postawiłam jej parę kubków wina na malinach i kwiatach pomarańczy, co jej zdaniem znakomicie

skracało czekanie, będące jak wiadomo najprzykrzejszą czynnością na świecie.

Kiedy przed panią Schultze znajdował się już okazały stosik spodeczków, którymi w tamtym kraju zaznacza się ilość wypitych szklaneczek, zajechał przed gospodę z hałasem i grzechotem samochód, pochodzący z czasów, kiedy na odgłos motoru wszystko, co żyło, rzucało się do okien albo wybiegało na ulicę. Teraz także wszystko, co żyło, rzuciło się do drzwi i okien, bo od dawna nikt nie słyszał takiego hałasu ani nie widział takiego samochodu. Toteż wszyscy widzieli, jak wysiadł z niego wielki mężczyzna o długich włosach, odziany byle jak w sztruksową marynarkę i takie same spodnie. I to był właśnie islandzki poeta, pisujący najpiękniejsze wiersze o miłości, choć na pierwszy rzut oka wyglądał tak, że nikt by nie zwrócił na niego uwagi, gdyby nie to, że był wyższy i szerszy i że twarz miał bardziej czerwoną niż ktokolwiek w całej okolicy. Trudno było zacząć rozmawiać, bo wszyscy patrzyli na niego jak na raroga, a z sąsiedztwa zbiegły się wszystkie dzieci i stały z nosami przylepionymi do okna, toteż islandzki poeta zaproponował, żebyśmy udali się do jego domu, położonego na drugim krańcu doliny. Przystaliśmy chętnie, bo poetów należy oglądać na tle ich wierszy i ich domów, pośród psów, kotów, ptaków śpiewających, złotych rybek i nedorzecznych przedmiotów, wśród których żyją.

W samochodzie siedziała niemłoda już pani, która wydała mi się bardzo piękna. To była jego żona. Przez całą drogę zerkałam na nią z boku. Ubrana była byle jak w taką samą marynarkę i spodnie ze sztruku, jak jej mąż, ale profil miała tak czysty i włosy takie złote, że nie można było oderwać oczu. Rzadko tylko natura zdobywa się na tak doskonały rysunek czoła, nosa, oczu i ust. Jednym słowem, widać było od razu, że żona islandzkiego poety musiała być za młodu skończoną pięknnością. Kiedy kobieta nie może znaleźć w drugiej żadnej skazy, żadnej usterki, żadnej wady, nawet najmniejszej, musi poczuć się nieswojo. Toteż ja także poczułam się nieswojo siedziałam z głupim poczuciem własnej niedoskonałości, nie odezwawszy się przez całą drogę ani słowem.

Wkrótce zajechaliśmy przed dom islandzkiego poety. Wysiedliśmy z samochodu i wtedy zobaczyłam twarz tej kobiety także z drugiej strony. Serce zamarło mi w piersi. O ile tamten profil oglądany ukradkiem podczas jazdy był nieskazitelnie piękny, o tyle ten drugi musiał ulec uszkodzeniu w jakimś okropnym wypadku. Niepodobna było odgadnąć, co to mogło być. W każdym razie teraz, kiedy oglądałam żonę islandzkiego poety w całej okazałości, nie miałam żadnej wątpliwości, że nie jest piękna i że z taką twarzą nie mogła się nikomu podobać, nawet kiedy była całkiem młoda.

— Weszliśmy do domu, gdzie posadzono nas na końcu bardzo długiego stołu, zastawionego rupieciami,

naczyniami, garnkami, czym gospodarze nie przejmowali się wcale, tylko zepchnęli to wszystko w drugi koniec, gdzie już i tak nie było krzty miejsca, i zrobili w ten sposób trochę luzu na szklaneczki z miejscowym winem na malinach i kwieciu pomarańczy. Byli to bardzo mili i interesujący ludzie, nie wyniosłam jednak tyle z rozmowy z nimi, ile bym powinna, bo przez cały czas o wiele bardziej obserwowałam ich wzajemny stosunek do siebie, niż słuchałam tego, co mówili. Żona islandzkiego poety darzyła go, kiedy mówił, spojrzeniem, w którym zawarta była cała miłość świata. A on mówił tylko do niej, tylko dla niej, tak jak do niej i dla niej pisał wszystkie swoje najpiękniejsze wiersze, choć zdawać by się mogło, że rozmawia ze mną i z panią Schultze. Widać było, że są najszcześniejszą i najbardziej kochającą się parą na ziemi.

— W drodze powrotnej pani Schultze opowiedziała mi, choć plątał jej się trochę język, ich historię.

— Poznali się w dalekiej i chmurnej Islandii, kiedy on był znanym już poetą, a ona studentką. On zakochał się w niej od razu, ona zakochała się najpierw w jego wierszach, bo każda kobieta, zanim pokocha mężczyznę, zakochuje się najpierw w tym, co on mówi, pisze albo robi. Była bardzo piękna, tak piękna, że kiedy się pobrali, islandzki poeta nie umiał być szczęśliwy. Mówił jej, że jest zbyt piękna, by zostać, by zostać na zawsze z nim, brzydalem o czerwonawej

twarzy i ruchach drwała, że opuści go dla kogoś równie jak ona pięknego i odejdzie któregoś dnia bezpowrotnie. Na próżno zapewniała go o swej miłości. Była zbyt piękna, by mógł jej uwierzyć. A ona kochała go naprawdę takiego, jakim był: gwałtowny, ciepły, bezradny i nieszczęśliwy. Ale nie chciała, żeby był nieszczęśliwy, chciała, żeby był spokojny i ufny i żeby nic nie dręczyło jego duszy. Pomyślała także, że nie jest się poetą za darmo, że za poezję płacić się musi chwilami rozdarciem, niepokoju, udreki. Jak go przekonać, jak uspokoić? Któregoś wieczoru, kiedy powtarzał jej raz po raz, że jest zbyt piękna, by mógł uwierzyć w trwałość swego szczęścia, podeszła do kominka, wyjęła płonąca żagiew i przyłożyła ją sobie do twarzy.

Moja żona umilkła i wydawało się, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Ale po chwili, widząc, że nikt się nie odzywa, dodała:

— Powiedziałyśmy przed chwilą, że kobiety stać w miłości na znacznie więcej niż mężczyźni. Staralam się wam wykazać na przykładzie, z którym się zetknęłam, że kobiety stać w miłości na wszystko. Nigdy nie spotkałam szczęśliwszej pary niż ta, o której wam opowiedziałam. I nigdy nie widziałam równie pięknej kobiety. Nie mówię o jej twarzy. Jej twarz nie była już piękna. To ona była piękna. Ona.

PORZECZKI

Miałem właśnie wyjść z domu, kiedy moja żona powiedziała:

— Ach! Zapomniałam ci powiedzieć, że dzwonił Staś. Pytał, czy nie pojechalibyśmy z nim na weekend. Ma samochód i wynajął na lato domek na Mazurach.

— Nie ma mowy — odpowiedziałem. — Kupiłem już bilety na "Hatari," a poza tym nie mam najmniejszej ochoty na wychwalanie przez całą drogę jego samochodu i na spędzenie reszty czasu na zachwycanie się jego domkiem. Niech jedzie sam.

— Tego się właśnie po tobie spodziewałam — powiedziała moja żona. — Myślisz zawsze tylko o sobie i do głowy ci nie przyjdzie, co czują inni. Staś nie jest egoistą i żeby mógł cieszyć się naprawdę samochodem i domkiem na lato, odczuwa wrodzoną każdemu normalnemu człowiekowi potrzebę podzielenia swej radości z innymi, więc należałoby pójść mu na rękę. Chyba że cię gryzie sumienie, czemu zresztą wcale bym się nie dziwiła. Są żony, których mężowie mają samochody i wynajmują domki na lato na Mazurach, ale nie każda ma takie szczęście.

— Kto to jest Staś? — zapytali moi synowie.

— To taki pan, który chciał być waszym tatusiem — odpowiedziałem, bo musiałem się jakoś odgryźć.

— Nie opowiadaj dzieciom głupstw — powiedziała moja żona. Dzieci goliły się właśnie

elektryczną maszynką przed powiększającym lusterkiem i przejawiały wyraźne zainteresowanie tematem. — A gdyby nawet tak było, miałbyś jeszcze jeden powód, żeby przyjąć zaproszenie. Nie musiałybyś wcale wychwalać samochodu Stasia ani zachwycać się domkiem, mógłbyś przez cały czas zajmować się wychwalaniem swojej żony. Ale ty myślisz tylko o sobie i wolisz pójść do kina tylko dlatego, że kupiłeś już bilety. To mi zaraz przypomina, co narobiłeś swojej babce z tymi porzeczkami.

Spuściłem głowę, bo nie lubię, jak mi się wypomina tę historię z porzeczkami. W końcu nic takiego nie zrobiłem, a wszyscy mi ją wypominają, odkąd się wydarzyła.

— Co to było z tymi porzeczkami? — spytali moi synowie.

— Wolałabym o tym nie mówić — powiedziała moja żona — ale może lepiej, żebyście się dowiedzieli i wyciągnęli z tego zdarzenia właściwe wnioski. Jesteście już w wieku, kiedy zaczynacie ponosić pełną odpowiedzialność za swoje postępowanie, a ta historia jest z każdego punktu widzenia wielce pouczająca. Jeśli więc przestaniecie brzęczeć tą maszynką do golenia, to gotowa jestem wam opowiedzieć.

Moi synowie wyłączyli elektryczną maszynkę do golenia i wtedy moja żona opowiedziała, co następuje:

— Opisywałam wam już nieraz dom waszych pradziadków. Stał na stoku wzgórza, z którego rozciągał się piękny widok na leżące w dolinie

miasteczko i na łyse albo pokryte lasem góry. Wokół domu był duży sad, pełen jabłoni, grusz, śliw, wiśni i czereśni. Przed domem rosły cztery wielkie orzechy włoskie, a za domem krzaki malin, agrestu i porzeczek. Wasza prababka miała z tym wszystkim mnóstwo roboty, bo jej ambicją było, żeby jej córki, synowie, zięciowie, synowe i wnuki, mieszkający w miastach, nie musieli kupować owoców, orzechów i konfitur w sklepach, tylko żeby mieli je prosto z własnego ogrodu, świeże i pachnące. Toteż w domu wiecznie coś smażyło się, suszyło, pachniało. W jednym pokoju, zamienionym na spiżarnię, leżały sterty jabłek, gruszek i orzechów, suszyły się śliwki z kminkiem ponabijane na długie patyczki, w sadzie gotowały się w wielkim kotle powidła, w kuchni pachniało sokiem malinowym, a w piwnicy ogórkami z koprem. Wasza prababka zjawiała się wśród tego wszystkiego już od świtu, szczęśliwa na myśl, że jej dzieci będą zaprowiantowane na całą zimę. Albowiem wasza prababka nieustannie myślała o swoich dorosłych już dzieciach i wiecznie się nimi trapiła, i stale chciała im jakoś pomóc i dogodzić, jakoś osłodzić im życie, niechby choć konfiturami.

— Pierwsze zaczynały dojrzewać czereśnie, potem wiśnie, maliny, agrest i porzeczki, w środku lata papierówki, w sierpniu gruszki, a pod koniec lata srebrne i złote renety, granatowe śliwki, a we wrześniu duże orzechy w zielonych łupinach, które pękały na drzewach, kiedy przychodził czas zbiorów. Każdy owoc miał swoją porę, toteż trzeba było przy

tym nie lada krzątaniny, i wasza prababka coraz częściej przysiadła na stołeczku, bo już wtedy puchły jej nogi i poczynąły odmawiać posłuszeństwa. Wasz ojciec zdał właśnie maturę i przyjechał do dziadków na wakacje, ale wasza prababka niewielką miała z tego pociechę; bo wasz ojciec całymi dniami hasał poza domem, nie umiając jeszcze doceniać jego wapnem bielonych ścian i ciemnego, strome go dachu ani sadu pełnego owoców, ani zapachu śliwek ususzonych z kminkiem, ani też gorącego serca babki i kpiarskiej czułości dziadka. Wiem, jak to jest z własnego doświadczenia, bo maluczko, a was też przestanę widywać całymi dniami, co macie niewątpliwie po ojcu.

Moja żona przerwała na chwilę, a ja raz jeszcze przyjrzałem się temu staremu domostwu, które widać było z daleka pośród sadu na zboczu wzgórze, kiedy szło się wśród wysokiego zboża polną drogą i którego widoku, zapachu i serdecznego ciepła nigdy nie zapomnę.

— Owego lata — mówiła dalej moja żona — ojciec wasz miał wrócić do rodziców już z końcem lipca, toteż wasza prababka umyśliła, że prześle przez niego swojej córce, a waszej babce, dwa wiadra porzeczek, które wyjątkowo pięknie obrodziły. Kiedy nadszedł dzień odjazdu, wasza prababka przygotowała dwa wiadra pełne porzeczek, ale wasz ojciec miał zawsze jeszcze kupę spraw do załatwienia ze swoimi kolegami, więc nie można było na niego liczyć, że jak Pan Bóg przykazał zabierze te wiadra, toteż wasza

prababka postanowiła, że wasz ojciec stawi się sam na dworcu, a ona dowiezie mu porzeczeki do pociągu bryczką.

Wasz ojciec nawet nie wysłuchał dobrze tego, co miał powiedzieć od babki swojej matce, i poleciał do kolegów, a potem pobiegł na skróty polami na stację, gdzie daremnie rozglądał się za babką, a zwłaszcza za wiadrami porzeczek. Wasza prababka musiała bowiem dojechać do miasteczka, przejechać je i zrobić jeszcze wyboistą drogą parę kilometrów, co wraz z zaprzęgiem konia i należytyym umieszczeniem wiader z porzeczkami zabrało jej sporo czasu. Dość, że kiedy wasza prababka przyjechała wreszcie na stację i kazała wynieść wiadra z porzeczkami na peron, okazało się, że pociąg już odjechał, a co gorsza, że wasz ojciec wszedł do tego pociągu. Wtedy wasza prababka zemdląła.

Moja żona spojrzała na mnie z wyrzutem, a ja powiedziałem:

— Co miałem robić? Babki nie było z wiadrami, a ja już wykupiłem bilet do tego pociągu.

— Właśnie — powiedziała moja żona. — Teraz też już kupiłeś bilety i usiłujesz zachować się zupełnie tak samo.

Popatrzyła na mnie raz jeszcze i ciągnęła dalej:

— Więc jak wam już mówiłam, wtedy wasza prababka zemdląła. Leżała na peronie wśród wiader pełnych porzeczek i nie miał jej kto ratować. Toteż przynajmniej nie słyszała gwizdu dojeżdżającego do

mostu pociągu, tego nieszczęsnego pociągu, w którym wasz ojciec jechał sobie jakby nigdy nic, podczas gdy wasza prababka leżała na peronie zemdlona między wiadrami pełnymi porzeczek. Trzeba bowiem pamiętać, że owego dnia waszej prababce na niczym tak nie zależało jak na przesłaniu waszej babce dwóch wiader wspaniałych, soczystych porzeczek, które sama zebrała we własnym ogrodzie. I to właśnie nie mieściło się w głowie waszego ojca.

— Przepraszam najmocniej — zaprotestowałem — ja naprawdę chciałem zabrać te porzeczkę, tylko że moja babka się spóźniła do pociągu.

— Każdy może się spóźnić — powiedziała moja żona. — Zwłaszcza zaś prababka.

— Moja babka nie była jeszcze wtedy prababką, była dopiero babką! — zawołałem.

— Na swoje nieszczęście — powiedziała moja żona. — Wolalabym nigdy nie mieć wnuka, niżbym miała leżeć przez niego zemdlona na peronie, między wiadrami pełnymi porzeczek. Czasami budzę się w nocy i widzę twoją babkę leżącą bez zmysłów między wiadrami porzeczek na peronie stacji, z której nikt nigdy poza tobą nie wsiadł do pociągu i choć los w rzeczywistości oszczędził mi tego strasznego widoku, sama myśl o nim sprawia na mnie okropne wrażenie. Tak się zawsze kończy, kiedy ktoś podchodzi do sprawy formalistycznie, bez wnikania w jej głębszy sens. Mówię o tym nie po to, żeby ci robić wyrzuty, bo te robi ci na pewno własne sumienie, lecz dla

przestrogi i wyciągnięcia nauki. I nie myśl, że to opowiadanie sprawiło mi jakąkolwiek przyjemność. Pragnę tylko, żeby wpłynęło wychowawczo na dzieci.

Nastała chwila ciszy, w której znów dało się słyszeć brzęczenie elektrycznej maszynki do golenia, uruchomionej przez moich synów.

— Wiesz co? — odezwałem się. — Teraz muszę wyjść. Zadzwoń do Stasia, że pojedziemy chyba na ten weekend. Jak myślisz?

Ale moja żona nie powiedziała nic więcej.

WIZYTA

Odwiedziła nas ciotka mojej żony, jedna z niewielu ciotek, jakie jeszcze mamy. Winda była oczywiście nieczynna, więc ciotka mojej żony musiała, żeby złożyć nam wizytę, wejść po schodach na szóste piętro. Kiedy wyraziliśmy jej z tego powodu ubolewanie i podziw, ciotka zapytała, czy wiemy, ile ona ma lat, chcąc zapewne podkreślić jeszcze w ten sposób niezwykłość swego wyczynu.

Było to oczywiście pytanie retoryczne, na które nie odpowiada się wprost, więc ciotka powiedziała nam sama, ile ma lat, co wprawiało nas za każdym razem w zdumienie, choć łatwe było do obliczenia, gdyż wystarczyło do poprzednio podanej liczby dodać czas, jaki upłynął od jej ostatnich odwiedzin. Toteż ciotka wyciągnęła z naszego zdumienia nieodparty wniosek, że nie dokonaliśmy tej prostej czynności rachunkowej, należnej kobiecie, która od dawna przestała ukrywać swój wiek, lecz przeciwnie, szczyci się nim przy każdej okazji, i powiedziała:

— Moja droga, ja to pamiętam, ile ty masz lat. Pamiętam dobrze i nieprędko zapomnę. W dniu, kiedy się urodziłaś, przyjechałam do mojej siostry a twojej matki i przez całą noc nie dałaś mi spać, tak się darłaś.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem, bo zaraz sobie wyobraziłem moją żonę, jak

drze się po przyjściu na świat i nie daje zmęczonej podróża ciotce zmrużyć oka przez całą noc.

Wtedy moja żona zapytała poważnie:

— A ty z czego się śmiejesz?

— Nic, nic — odpowiedziałem. — Tak sobie. Po prostu wyobraziłem sobie, jak się musiałaś drzeć.

Dorośli ludzie, nie wiadomo dlaczego, bardzo nie lubią, kiedy im się opowiada, jak wyglądali albo co wyrabiali jako noworodki. Ja też tego nie lubię, więc pomyślałem sobie, że zaraz usłyszę o jakimś szczególnie niemiłym swoim własnym wyczynie, starannie wybranym spośród wszystkich przekazanych przez rodzinną tradycję ustną. Ale moja żona powiedziała:

— Jestem szczęśliwa, że jest jeszcze ktoś, kto widział na własne oczy i słyszał na własne uszy, jak spędziłam moją pierwszą noc.

Ciotka mojej żony wzięła to za dobrą monetę i wywiązała się długa rozmowa, w której wspominkom nie było końca.

Potem zostaliśmy znowu sami i wtedy moja żona powiedziała:

— Niektórym się zdaje, że są o wiele bardziej potrzebni ludziom starym niż starzy im. Moim zdaniem jest akurat odwrotnie i ludzie starzy są nam wszystkim coraz bardziej potrzebni, bo to właśnie oni wiążą nas i łączą z przeszłością, której nie pamiętamy, bo pamiętać nie możemy. Przez samo swoje istnienie przedłużają nas w przeszłość, tak jak nasze dzieci

przedłużają nas w przeszłość. Słyszę często narzekania i utyskiwania, że pokolenie w naszym wieku dźwiga na własnych barkach ciężar przeszłości i przyszłości zarazem, bo ma na karku troskę o ludzi już starych i troskę o ludzi jeszcze młodych. Moim zdaniem tak jest właśnie dobrze, a nawet znakomicie. Ogromnie to lubię, i chciałabym, żeby wszyscy, którzy tego nie lubią, zrozumieli, jakie mają szczęście, że tak jest.

— Moja droga — powiedziałem — nie jest to takie proste. Życie nie jest tanie, a mieszkania są ciasne i znam szacunku godne osoby, które marzą o dniu, w którym pożenią lub powydadają za męż dzieci, zostaną sami i nareszcie będą mieli spokój i dość miejsca.

Moja żona popatrzyła na mnie z czułością (moja żona zawsze patrzy na mnie z czułością, kiedy uważa, że mówię głupstwa, i kiedy ma zamiar mi tego dowieść) i odparła:

— Ileż to razy już cię przestrzegałam przed wypowiedaniem sądów, których nie przemyślałeś należycie. Czyż nie dostrzegasz żalosnej pomyłki w takim rozumowaniu? Kiedy ubywają nam z życia czy z domu bliscy, wtedy nie ma więcej wolnego miejsca, jest tylko więcej pustych miejsc. Przypomnij sobie, ilekroć dzieci wyjeżdżają na wakacje, wydawało nam się, że robi się cicho, a robiło się pusto. Ale dzieci wracały i znów, Bogu dzięki, nie było chwili spokoju. Ludzie starzy opuszczają nas, ale już nie wracają ze swych długich, zasłużonych wczasów...

Moja żona zamyśliła się na chwilę, a ja przywołałem w pamięci wszystkich, którzy odeszli z mego życia, zostawiając po sobie miejsca puste, ale wygrzane długim istnieniem, toteż na zawsze ciepłe, a w każdym razie na tak długo, jak długo trwać może wspomnienie. Pierwsza opuściła mnie babka, u której kolan wysłuchiwałem przez niekończące się wieczory dzieciństwa "Nędzników" Wiktora Hugo i "Don Kichota z Manczy", opowiedzianych własnymi słowami tak pięknie, że po dziś dzień tak je zapamiętałem, a nie tak, jak zostały napisane. Babka nosiła czarne koronki i żyła bardzo długo, ale prawie przez pół wieku dwa razy do roku, przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, kładła się do łóżka i kazała przygotowywać gromnicę, bo Cyganka przepowiedziała jej, że umrze w wielkie święta. Wystarczyło, by święta minęły, a moja babka wstawała ze śmiertelnego łoża zdrowa jak rydz. Była osobą wątlą i delikatną, a jednak to ona złamała klucz, którym mój dziadek sam zamykał co wieczora stajnię z pięknymi końmi, ów słynny klucz, oglądany potem z podziwem i niedowiarstwem przez młode pokolenie, masywny i ogromny jak ten, którym Rafał z "Popiołów" rozwalił wilkowi kufę. Wiele dziesiątków lat minęło od tego wieczoru, kiedy złożony niemocą dziadek poprosił babkę o wyłączenie go w zamknięciu na klucz stajni i ona ten klucz złamała, jak tylko wsadziła go w zamek, a wydarzenia tego niepodobna oderwać od postaci babki, od jej słabości i wątlności, od wieczornych

opowieści wysłuchanych u jej kolan, od Cyganki, która pozbawiła jej radości wigilii i rezurekcji przez niemal pół wieku, od jej długiego życia, w ciągu którego wygrzała sobie ciepłe miejsce, co pozostało puste po jej odejściu i niczym wypełnić się nie da.

— Nie chcę — podjęła moja żona, jakby nigdy nie było tej chwili zamyślenia, która rozdzieliła nas na krótko i poprowadziła każde z osobna w krainy, do jakich wchodzi się tylko samotnie — nie chcę myśleć o dniu, kiedy nie będzie już nikogo, kto mógłby mi opowiedzieć, jak bardzo darłam się po przyjściu na świat.

— O czym myślałaś? — zapytałem.

— Och, o niczym takim — odpowiedziała moja żona. — Myślałam, że są ludzie w naszym życiu, których obecności nie zauważa się niemal, a dopiero ich nieobecność odczuwa się bardzo. Potem robi się samemu sobie gorzkie wyrzuty, że nie miało się dla nich nigdy dość czasu, cierpliwości, uwagi i że nie umiało się im okazać czym naprawdę dla nas byli, i czym są dalej, a teraz już nie można im niczego okazać, bośmy się z tym po prostu spóźnili. Myślałam też o mojej babci.

— To dziwne — powiedziałem. — Ja też myślałem o mojej babce.

— To wcale nie dziwne — odpowiedziała moja żona. — Babki są bardzo ważne. Powiedziałabym, że należą do naszego dzieciństwa w stopniu o wiele większym niż matki. Są po prostu naszą własnością.

Matka ma jeszcze wówczas pełnię własnego życia, masę spraw odległych i obcych świata dziecka. Jest zajęta, nie ma czasu. Babcia ma zawsze bardzo dużo czasu, mieści się cała w świecie dziecka, a może nawet jej własny świat staje się coraz bliższy światu dziecka? Myślę, że tak naprawdę traci się dzieciństwo wtedy, kiedy traci się babkę. Teraz wydaje się nam, że najważniejsze są nasze codzienne sprawy i że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, ale to nieprawda, jesteśmy tacy, jakimi nas widzą nasze stare ciotki, które mogą nam dokładnie opowiedzieć, jacy jesteśmy naprawdę, bo pamiętają to, czego my nie możemy pamiętać. Dlatego przywiązuję dużą wagę do tego, żebyś się wobec nich uprzejmie zachowywał i nie robił min, kiedy przychodzą nie w porę i przeszkadzają w niesłuchanie ważnych sprawach, jakie akurat masz do załatwienia. Bo nie ma niczego ważniejszego niż to, żebyś uświadomił sobie, że nie jesteś wcale taki, jak ci się wydaje i starasz się wszystkim naokoło wmówić. Najlepszy dowód, że powyrzucałeś przez okno na ulicę rodzinne srebro.

— Miałem wtedy półtora roku — odparłem urażony.

— No to co? — zapytała moja żona. — Nigdy byś się o tym ważnym fakcie nie dowiedział, gdyby nie twoja stara ciotka, która jest głucha jak pień i niepodobna z nią się w żaden sposób porozumieć, ale która ma za to dobrą pamięć i zna cię na wylot. Ktoś, kto jest zdolny wyrzucić przez okno na ulicę całe

rodzinne srebro, powinien wyciągnąć z tego wnioski i dużo nad sobą pracować.

Nie odezwałem się, nie chcąc przeciągać rozmowy, bo miałem do załatwienia parę ważnych spraw, w czym przeszkodziła mi ta nieoczekiwana wizyta.

OBLEŻENIE

Niedziela zapowiadała się pogodna i właśnie miałem zaproponować mojej żonie przejażdżkę za miasto, kiedy nasi synowie powiedzieli:

--Czy możemy wziąć samochód, bo umówiliśmy się z pannami i bardzo nam się śpieszy.

Moja żona w takich wypadkach udaje, że nie słyszy, tylko patrzy na mnie pytająco, dając tym do zrozumienia, że nie do niej należy podejmowanie męskich decyzji.

— Nie widzę powodu — powiedziałem po namyśle — dlaczego nie moglibyście pojechać tramwajem?

— Tramwajem? — zapytali z oburzeniem nasi synowie.

— Tramwajem albo moglibyście pójść pieszo. Ja na randki z waszą matką chodziłem pieszo, siedem kilometrów w jedną stronę. A poza tym nie rozumiem, co wy w tych pannach widzicie?

Moja żona musiała dojść do wniosku, że sprowadziłem kwestię na manowce, bo odstawiła filiżankę z kawą gestem, który miał oznaczać, że do takiego właśnie wniosku doszła, po czym powiedziała:

— Mówisz takie rzeczy, że dzieci mogłyby sobie Bóg wie co pomyśleć. Też byłam panną i pamiętam, że patrzyłeś we mnie jak sroka w kość, a i później ci się to od czasu do czasu zdarzało. Nie chciałam się do waszych samochodowych spraw mieszać, ale teraz

widzę, że nie możesz sobie sam dać rady w sytuacji skądinąd niesłychanie prostej. Twój dziadek też umiał prostą sprawę pogmatwać, choć, trzeba przyznać, w sytuacji o wiele bardziej skomplikowanej.

— To nie dziadek pogmatwał! — zawołałem. — To babka!

— Zostaw swoją biedną babkę w spokoju — powiedziała moja żona. — Najłatwiej zwałać wszystko na kobiety, tak jak teraz z tym samochodem. Pozwolicie, że wstanę od stołu, a wy załatwicie to między sobą...

Ale nasi synowie chcieli koniecznie usłyszeć o sprawie, którą mój dziadek pogmatwał w sytuacji co prawda o wiele bardziej skomplikowanej niż ta, jaka wytworzyła się przed chwilą przy śniadaniu. Więc moja żona usiadła z powrotem i opowiedziała, co następuje:

— Działo się to z początkiem pierwszej wojny światowej, kiedy wasi pradziadkowie mieszkali w tym dużym domu, o którym tylekroć wam opowiadałam. Kiedy stało się na samym krańcu wspinającego się na zbocze sadu, można było w pogodne dnię dojrzeć podobne do kopca wzgórze, przez które biegła droga do Przemyśla. Za tym wzgórzem był już Przemyśl, dokąd wasza prababka często jeździła w niecierpiących zwłoki sprawach. Otóż owego roku, w którym wybuchła pierwsza wojna światowa, z końcem września, wasza prababka udała się, jak zawsze bryczką, do Przemyśla, pragnąc wykorzystać ostatnie

dni babiego lata dla dokonania niezbędnych przed zimą zakupów. Nie było to takie proste, bo na wojnie najtrudniejszą rzeczą jest zawsze kupienie czegokolwiek, co jak wiadomo spada z reguły na barki kobiet. Toteż wasza prababka musiała pozostać w Przemyślu przez dobrych parę dni, podczas których Rosjanie przerwali austriacki front i otoczyli miasto ze wszystkich stron. Wtedy jeszcze trudniej było waszej prababce kupić cokolwiek z tego, co zamierzała, więc nie mając nic innego do zrobienia, wychodziła co dzień na ów kopiec, tak dobrze widoczny z jej sadu, w nadziei, że z jego wierzchołka dojrzy bielone ściany domu, w którym zostawiła waszego pradziadka. Ale w stronę gór widać było wiele bielonych domów pośród drzew wyżłoconych jesienią i wasza prababka nie była nigdy pewna, czy patrzy właśnie na ten, w którym wasz pradziadek musiał usychać z tęsknoty i niepokoju. Wasz pradziadek także nie mógł sobie miejsca znaleźć, toteż nieustannie wychodził na sam kraniec wspinającego się na zboczu sadu i spoglądał w stronę kopca, za którym leżał Przemyśl, gdzie siedziała obleżona wasza prababka. I tak nie widząc się, patrzyli ku sobie codziennie oczami pełnymi najpiękniejszego uczucia, jakie łączyć może dwoje ludzi. Wasza prababka wiedziała, że wasz pradziadek po kilka razy dziennie wyteża wzrok w stronę kopca, i wasz pradziadek wiedział, że wasza prababka, ile razy tylko może, staje na tym kopcu i usiłuje dojrzeć poprzez dymy obleżenia miejsce, dla którego biło jej serce.

Moja żona przerwała na chwilę, a ja zobaczyłem znowu ten dom, i zrobiło mi się żal, że nasi synowie nie mogą go zobaczyć. Tak był położony, że musiała wdać się w to historia. Za często ustawiano przy nim armaty. Ilekroć była wojna, w sadzie stała artyleria, w 1914-ym i w 1918-ym, we wrześniu, w 1941-ym, a potem w czterdziestym czwartym. W tym domu trzy pokolenia przeżyły czasy, których miejsca dobre dla artylerii nie są miejscami dobrymi dla domów.

— W ten sposób — mówiła dalej moja żona — minęło kilkanaście dni, które wydały się waszej prababce i waszemu pradziadkowi najdłuższymi dniami w ich życiu. Gazety całego świata pisały o szturmach i obronie, nazwa miasta stała się głośna w najdalszych zakątkach ziemi, ale wasi pradziadkowie wychodzili po prostu codziennie na swoje pagórki i patrzyli w swą stronę ponad fortami, frontami i wojną.

— Wreszcie w połowie października wojska rosyjskie odstąpiły od obleżenia i droga znów była wolna. Wasza prababka wyszła raz jeszcze na kopiec, zamachała radośnie rękami i zawołała "wracam, wracam", a potem spędziła jeszcze parę dni dla dokonania koniecznych zakupów. Kiedy była ze wszystkim gotowa, wsiadła na bryczkę i ruszyła do domu, szczęśliwa i bardzo z siebie zadowolona. Wyobrażała sobie, jaki wasz pradziadek będzie kontent, kiedy nie tylko ujrzy wyczekiwaną z utęsknieniem i niepokojem małżonkę, ale również

zobaczy całkiem udane zapasy, jakie na wojenną zimę poczyniła.

— Wtedy właśnie wasz pradziadek pogmatwał sprawę. Zamiast siedzieć w domu spokojnie i mieć zaufanie do kobiecego rozsądku waszej prababki, zaczął sobie wyobrażać nie wiedzieć co, wreszcie nie wytrzymał i postanowił się naocznie przekonać, czy wasza prababka nie stoi dalej na tym kopcu. Wynajął furkę i ruszył do Przemyśla.

— W ten sposób wasz pradziadek i wasza prababka minęli się gdzieś na prostym jak strzełił gościńcu, jadąc co koń wyskoczy w pierwszej jesiennej zadymce. Wasza prababka jechała ku białym ścianom domu, których wypatrywała z kopca wśród ściernisk i żółknących drzew, a wasz pradziadek ku przemyskiemu kopcowi, ku któremu wyteżał oczy z krańca górnego sadu. W rezultacie pod wieczór tego samego dnia wasza prababka znalazła się w domu, w którym nie było waszego pradziadka, a wasz pradziadek w Przemyślu, w którym nie było już waszej prababki.

— Skończyłoby się na zwykłym nieporozumieniu, może na paru wymówkach i nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie to, że właśnie wtedy wojska rosyjskie przystąpiły znów do ofensywy i założyły drugie oblężenie, o którym gazety całego świata pisały jeszcze więcej, a przede wszystkim znacznie dłużej niż o pierwszym, bo przez całych pięć miesięcy. W ten sposób wasi pradziadkowie mogli się przekonać, że

tych kilkanaście dopiero co przeżytych w rozłące i niepokoju dni nie było wcale najdłuższymi dniami w ich życiu, bo teraz wasz pradziadek był zamknięty w obleżonym Przemyśle i chodził na kopiec patrzeć ku dalekiemu domowi, który bez trudu rozpoznał wśród wzgórz na skraju gościńca dzięki fachowemu oku drogomistrza, a wasza prababka spoglądała z krańca górnego sadu ku kopcowi, nad którym snuły się dymy obleżenia.

— Na tej zmianie oczywiście znacznie gorzej wyszedł wasz pradziadek, ale mówiłam wam przecież, że to on właśnie pogmatwał prostą skądinąd sprawę, na skutek godnych zresztą pochwały komplikacji natury uczuciowej. Naprawiał drogi dojazdowe do sześciu fortów wewnętrznych, piętnastu głównych fortów zewnętrznych, dwudziestu siedmiu fortyfikacji pomocniczych i dwudziestu pięciu baterii, opowiadał mi o tym tyle razy, że wszystkie te liczby utkwiły mi raz na zawsze w pamięci i nigdy ich nie zapomnę. W tym samym czasie wasza biedna prababka zajmowała się w przerwach między wyprawami na kraniec górnego sadu gospodarstwem, korzystając z pomocy rosyjskich artylerzystów, którzy ustawili armaty akurat w miejscu, skąd widać było ów nieszczęsny kopiec. Czasami, kiedy pozwolili jej popatrzeć przez lornetę, wydawało jej się, że widzi na jego wierzchołku wysoką i barczystą postać waszego pradziadka, wymachującą rękami, ale po jakimś czasie zaczęła dochodzić do wniosku, że mogła to być jedna z wierzb,

którymi droga obsadzona była jak długa, chwiejąca się od jesiennego wiatru.

Moja żona zamilkła i zdawało się, że chce nas tak zostawić z obrazem wierzby wymachującej rozpaczliwie na wietrze, ale ponieważ każda opowieść musi mieć jakieś zakończenie, ta także je mieć musiała, toteż po chwili moja żona powiedziała:

— Żadne obleżenie nie trwa wiecznie i ludzie, którzy są dla siebie stworzeni, łączą się w końcu zawsze i tym razem też się tak stało. Chciałabym, byście z tego zdarzenia wyciągnęli naukę, że niecierpliwość nie wiedzie najszybciej do celu, ale ponieważ zabrałam wam sporo czasu, poproście ojca, żeby wam pozwolił wziąć samochód, bo teraz to naprawdę inaczej nie zdążycie.

ORCHIDEA

No więc? — zapytała moja żona. —
Zdecydowałeś się wreszcie?

— Jeszcze nie — odpowiedziałem — i doprawdy
nie wiem, co robić.

Popatrzyłem przez okno. Pogoda zapowiadała się
na niedzielę wspaniała i głębokie barwy jesieni cieszyły
wzrok.

— Cenię nade wszystko ludzi, którzy wiedzą,
czego chcą — powiedziała moja żona. — Ale takich jest
dziś coraz mniej i właściwie nikt dobrze nie wie, czego
chce.

— Rzecz w tym — odparłem — że wybór jednej
ewentualności oznacza rezygnację ze wszystkich
innych. Jeśli pojedę na polowanie, to nie będę mógł
oglądać meczu i przez cały czas będę myślał, jaki jest
wynik. Jeśli będę oglądał mecz, to przez cały czas będę
widział kolegów, biorących mioty pełne zajęcy. Dopóki
się waham, dopóty mam przed sobą ciągle dwie
możliwości. Kiedy się zdecyduję, będę już miał tylko
jedną. To tak jest z małżeństwem.

— Wiesz co — powiedziała moja żona — dziękuj
Bogu, że jestem łagodną osobą, której wszyscy skaczą
po głowie i z którą każdy robi, co chce, bo mógłbyś coś
usłyszeć. A jeśli chodzi o małżeństwo, to nie
przypominam sobie, żeby ktokolwiek wymagał
kiedykolwiek jakiejś decyzji od ciebie.

Puściłem to mimo uszu, bo i tak sytuacja była trudna i wolałem jej nie komplikować. Największe kłopoty ma się zawsze z sobą samym i dopóki człowiek się z tym sam nie rozprawi, nie da sobie rady z innymi.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez chwilę, po czym moja żona powiedziała:

— Widzę po twojej minie, że jesteś bardzo nieszczęśliwy, pozwól więc, że ci coś opowiem. Pamiętasz moją stryjeczną babkę?

— Pamiętam — odparłem. — Bałem się jej jak ognia i obchodziłem kołem, bo na mój widok zawsze coś mamrotała pod nosem.

— Nie rozumiem, jak mogłeś się jej bać — powiedziała moja żona. — Była to najśłodsza istota pod słońcem, a mamrotała pod nosem na twój widok dlatego, że jej zdaniem nie wiedziałeś nigdy dobrze, czego chcesz. Nie musiała się chyba znowu tak bardzo mylić, skoro siedzisz tu od godziny, gapiąc się w okno, i nie wiesz co robić. Powtarzała mi zawsze: Niech mowa twoja będzie "tak, tak — nie, nie" i nie znosiła krętactwa.

— Rozważania wszystkich "za" i "przeciw" nie jest krętactwem! — zawołałem boleśnie.

— Jeśli człowiek wie, czego chce, to nie musi niczego rozważać — powiedziała moja żona. — A moja stryjeczna babka nie tylko wiedziała, czego chce, ale i przeprowadzała to, czego chciała.

— A czegoż to takiego chciała twoja stryjeczna babka?! zapytałem szyderczo.

— Właściwie bardzo niewiele — powiedziała moja żona. — Moja stryjeczna babka chciała tylko tego, żeby raz na rok, w dniu swych urodzin, mogła sobie kupić w miejskiej cieplarni jedną, jedną orchideę.

Moja żona przerwała i siedziała z wzrokiem opuszczonym ku podłodze, uśmiechając się leciutko.

— To nie było żadne dziwactwo — podjęła po chwili. — Moja stryjeczna babka wyszła młodo za męża i przez trzydzieści pięć lat szczęśliwego pożycia otrzymywała na urodziny od swego męża orchideę. Kiedy owdowiała, kupowała sobie przez pamięć dla męża orchideę w każde urodziny, tak jakby on dalej był przy niej. Przez trzydzieści lat wdowieństwa zamawiała co roku orchideę w miejskiej cieplarni i nie zdarzyło się ani razu, by jej nie otrzymała.

— Nic więc dziwnego, że moja stryjeczna babka zdążyła w ciągu sześćdziesięciu pięciu lat przyzwyczać się do tego, że w każde swe urodziny stawiała na stole orchideę, miały one różne barwy, raz bywały jasne, to znów ciemne, a czasami nawet prawie czarne, bo orchidea jest kwiatem, który ma podobno nieskończoną ilość odmian i barw. Moja stryjeczna babka widziała w ich zmienności odmienianie się czasu, każdy jej rok miał inne zabarwienie, takie, jakiego użyczała mu orchidea, którą w połowie stycznia stawiała we flakonie i trzymała tak długo, aż zupełnie nie zwiędła. Toteż moja stryjeczna babka zwykła była mawiać: "To było w roku, kiedy miałam żółtą

orchideę". Albo czerwoną, liliową, błękitną, granatową lub białą.

Moja żona zamyśliła się znowu, jakby oglądała we wspomnieniu wszystkie te orchidee o barwach nieba, wiosny lub płomienia, choć ani widzieć, ani pamiętać ich nie mogła, bo sięgały w głąb czasu znacznie dalej, niż ona mogła sięgnąć myślą i wspomnieniem. Ale kwiaty i kobiety mają to do siebie, że wystarczy widzieć kilka najpiękniejszych, by wiedzieć, jak wyglądają wszystkie inne.

— Każda z nas — mówiła dalej moja żona — ma taką swoją orchideę, która pragnęłaby otrzymywać przez całe życie i jakiej nie chciałaby być nigdy pozbawiona. Moja stryjeczna babka miała swoją i jak długo mogła ją mieć, była szczęśliwa. Któż mógłby odgadnąć, jakie uczucia i jakie wzruszenia budził ten rzadki kwiat w sercu starej kobiety, która poza uczuciami i wzruszeniami niczego już nie miała. Któż bowiem zastanawia się kiedykolwiek, co jest w sercach bardzo starych kobiet? Ludziom wydaje się, że ich serca są puste jak ich życie, ale tak nie jest, bo serca staruszek pełne są kwiatów, które nigdy nie więdną i zawsze są świeże, jakby je przed chwilą zerwano.

— Kiedy wybuchła wojna i przyszła pierwsza okupacyjna zima, moja stryjeczna babka miała osiemdziesiąt pięć lat. Czasy były głodne i chłodne, wypełnione rozpaczą, buntem, śmiercią. Komu tam w głowie były kwiaty, a zwłaszcza orchidee! Nikomu, poza moją stryjeczną babką.

Kiedy zbliżały się jej urodziny, coraz częściej zdarzało się, że ktoś jej mówił: "No cóż, droga pani, w tym roku nie będzie pani miała swojej orchidei!" Moja stryjeczna babka uśmiechała się tylko, wiedziała, że między współczuciem a okrucieństwem biegnie cieniutka i prawie niezauważalna granica, uśmiechała się i mówiła: "O, nie! Będę ją miała jak co roku. Mój świętej pamięci mąż byłby niepokieszony i nigdy by mi tego nie darował".

— Kiedy rocznica urodzin była już całkiem blisko, moja stryjeczna babka poszła, jak co roku, do miejskiej cieplarni zamówić orchideę. Jakiś obcy, nieznany ogrodnik wybałuszył na nią oczy:

"Co pani? O wojnie pani nie słyszała? Ludzie nie mają kartofli, a pani się orchidei zachciało?"

— Mojej stryjecznej babce niczego się nie zachciało, pragnęła tylko, jak co roku od sześćdziesięciu pięciu lat, mieć swoją orchideę, i wiedziała, że będzie ją miała. Dowiedziała się od ogrodnika, że cieplarnia jest pod zarządem Treuhandera. Podreptała do niego.

— Moja stryjeczna babka była siwa, wysoka, prosta jak trzcina, patrzyła ludziom prosto w oczy i mimo laski, którą się podpierała, szła zawsze prosto przed siebie, tak że zaraz było widać, że wie, dokąd i po co idzie. Jednym słowem, moja stryjeczna babka należała do wspaniałej rasy kobiet, jakich nie wyrzuca się za drzwi.

— Treuhander był wyjątkowym draniem, ale moja stryjeczna babka go zmoęła. Rozłóżył bezradnie ręce. Ciepłarnia była w wyłącznej dyspozycji okupacyjnego komendanta miasta. Moja stryjeczna babka poszła do niego. Nie słyszałam nigdy, żeby się ktoś do niego dostał. Ale moja stryjeczna babka się dostała. Dostała się do niego, stukając laską i używając wykwintnej francuszczyzny, której nauczyła się jeszcze na pensji. Kiedy wyłuszczyła, o co chodzi, okupacyjny komendant miasta zrobił się siny i począł się dusić.

— To było coś, co nie mieściło mu się w głowie. Zatkąło go po prostu z oburzenia. Ta Polka miała czelność przyjść do niego, komendanta miasta, po kwiaty "nur fur Deutsche"! I to po orchidee! Zaczął wrzeszczeć.

— Wtedy moja stryjeczna babka uciszyła go, uderzając laską w biurko.

"Przyszłam tu — powiedziała — po orchideę, a nie żeby wysłuchiwać pańskich wrzasków. Od sześćdziesięciu pięciu lat dostaję na urodziny orchideę i nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałabym jej i tym razem dostać. Będę ją miała i żaden fuhrerek mi w tym nie przeszkodzi." Tak właśnie powiedziała: "... et ce n'est pas un petit fuhrer qui va m'en empecher".

Moja żona przerwała i widać było po jej minie, że uważa opowieść za skończoną. Czekałem długą chwilę, ale ona naprawdę uważała, że to już wszystko.

— No i co? — zapytałem. — Dostała tę orchideę?

— A jak myślisz? — odpowiedziała moja żona. — Przecież gdyby jej nie dostała, opowieść moja nie miałaby żadnego sensu. Cała ta historia, jaką ci opowiedziałam, ma jakiś sens tylko dlatego, że moja stryjeczna babka orchideę tę dostała w okolicznościach, w których nie powinna jej była dostać. Ale widzisz, jej chodziło nie tylko o tę orchideę. Chciała okazać, że nie akceptuje takiego stanu rzeczy i nie zgadza się z takim światem, w którym pragnienie starej kobiety otrzymania na urodziny orchidei uważane jest za szaleństwo.

DESZCZ

Padał ulewny deszcz. Grube krople rozmazywały się na szybach, zacierając kontury lasu za oknami. Siedzieliśmy w jadalni leśniczówki, gawędząc, bo jak okiem sięgnąć, nie było widać czwartego do brydża.

— Ciśnienie ciągle spada — powiedział znajomy inżynier, stukając palcem w barometr. — I pomyśleć, że nasze samopoczucie, a nawet losy zależą od różnych barów i izobarów o wiele bardziej niż od nas samych. Nic więc dziwnego, że od jakiegoś czasu radio i telewizja, a nawet poważne gazety ostrzegają, że z powodu ciśnienia atmosferycznego albo deszczu będziemy do niczego i nie powinniśmy się brać do takich zajęć, przy których wymagana jest przytomność umysłu.

Wszyscy zgodzili się, że nie należy lekceważyć tych ostrzeżeń, tylko wyciągać z nich wnioski, a pewien profesor wygłosił nawet zdanie, że w takie dni lepiej nie wychodzić z domu i położyć się do łóżka, niż narażać na działanie zjawisk przyrody, których nauka jeszcze nie opanowała.

— Już starożytni — powiedział — znali wpływ, jaki na stan i zachowanie się człowieka wywierają takie, a nie inne układy gwiazd. Współczesna nauka zdaje się potwierdzać w dużej mierze te zjawiska, tak długo uważane za zabobony. Dziś już się wie z całą

pewnością, że ilość i jakość plam słonecznych nie pozostaje bez wpływu na nasze samopoczucie.

Wszyscy popatrzyli w okna, za którymi deszcz padał dalej, rześisty i monotony.

— Z tego wynika — powiedział znajomy inżynier — że los nasz nie jest tak dalece zależny od nas samych, jak by się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Bo do wpływu pogody, słońca i planet dodać należy jeszcze prawa stworzone przez człowieka i układy społeczne.

Wywód był przekonywający i wszyscy poczęli kiwać głowami, a wtedy moja żona powiedziała:

— Mam na ten temat własne zdanie i mogłabym przytoczyć na jego poparcie wiele przykładów, a zwłaszcza pewne wydarzenie, które mnie osobiście dotyczy. Jest to jednak dość długa historia i nie wiem, czy ktokolwiek miałby cierpliwość jej wysłuchać. Byłaby ona zresztą nie w smak niektórym z tu obecnych, gdyż jak widzę, zwalanie winy na warunki atmosferyczne i czynniki zewnętrzne za to, że nic nie robia, bardzo im odpowiada.

Tu moja żona posłała mi wymowne spojrzenie, ale udałem, że tego nie zauważam, tylko popatrzyłem w okno, za którym ciągle lało jak z cebra.

Jak było do przewidzenia, wszyscy chcieli koniecznie wysłuchać dość długiej historii, choćby była nie w smak niektórym z obecnych, gdyż deszcz ciągle padał i wyglądało, jakby nigdy nie miał przestać padać.

— Nawet dobrze się składa — powiedziała moja żona — bo obiecałam wam kiedyś opowiedzieć dalszą historię mojej babki i mego dziadka. Wiecie już, jak się spotkali i zgubili, a potem odnaleźli, a teraz usłyszycie, co było dalej. Dobrze też się składa, że pada deszcz, bo w tej historii taki sam deszcz odegrał dużą rolę, a w każdym razie starał się, tylko że na próżno. Ale do rzeczy.

Moja żona usadowiła się jak najwygodniej i wyczekawszy, aż wszyscy zrobią to samo, zaczęła tak:

— Było to w czasach, kiedy ślub uważany był jeszcze za bardzo poważną sprawę, toteż zanim moja babka i mój dziadek dali na zapowiedzi, urządzili sobie przyszłe mieszkanie. Mój dziadek musiał wszystkiego doglądnąć sam, bo surowy obyczaj nie pozwalał, by panna młoda postawiła stopę we wspólnym mieszkaniu wcześniej niż po ślubie, który wówczas był jeszcze początkiem, a nie zakończeniem miłosnych uniesień. Kiedy wszystko było już gotowe, wyznaczono datę ślubu. Babka moja mieszkała dalej na wsi, gdzie uczyła w szkole, a dziadek w niezbyt odległym miasteczku. Na miejsce ślubu wyznaczono parafię w połowie drogi między wsią mojej babki a miasteczkiem mego dziadka. Moja babka w ślubnej sukni i białym welonie zjawiała się przed kościołem w otoczeniu rodziny co najmniej o pół godziny wcześniej. Była bardzo wzruszona, bo jak wszystkim wiadomo, ślubną suknię z białym welonem wkłada się tylko jeden raz w życiu. Moja babka też tak myślała, ale okazało się wkrótce, że

myli się gruntownie, bo wyznaczona godzina dawno minęła, a pana młodego jak nie było, tak nie było. Sytuacja zaczęła robić się coraz głupsza, toteż w końcu dwaj niedoszli szwagrowie wsiedli w dorożkę i pojechali po mojego dziadka do miasteczka. Czy zwróciliście uwagę na okoliczność, że w takich wypadkach szwagrowie obarczeni są z reguły szczególnie odpowiedzialnymi funkcjami? Orszak weselny, z moją babką na czele, czekał więc przed kościołem, a tymczasem szwagrowie szukali mego dziadka po całym miasteczku. Znaleźli go wreszcie w gospodzie, gdzie siedział przy piwie i śpiewał wojskowe piosenki. Miał do tego pełne prawo, gdyż właśnie dostał powołanie do wojska i miał się stawić niezwłocznie w jednostce. Jakże mógł myśleć o ślubie w takiej chwili, kiedy obowiązek społeczny i obywatelski powoływał go pod sztandar? Szwagrowie odprowadzili najpierw mego dziadka do pociągu, a potem wrócili dorożką do sąsiedniej parafii, pod kościół, gdzie moja babka czekała ciągle w ślubnej sukni i białym welonie w otoczeniu coraz mniej weselnie nastawionej rodziny. Ale było jak było i moja babka musiała pogodzić się z myślą, że za rok przyjdzie jej wkładać ślubną suknię i biały welon po raz drugi w życiu, czego by się była nigdy nie spodziewała.

Moja żona przerwała, a nam wcale nie chciało się śmiać, bo wszyscy przywiązaliśmy się już do babki mojej żony i wyobrażaliśmy sobie, co musiało dziać się

w jej sercu, kiedy nadaremnie czekała przed kościołem w ślubnej sukni i białym welonie, ściskając bukiet róż, które zaczynały już więdnąć.

— Jak każdy rok — mówiła dalej moja żona — tak i ten minął, jak z bicza trząsał. Wyznaczono nową datę ślubu, w tymże samym kościele, moja babka po raz drugi w życiu włożyła ślubną suknię i biały welon. Żeby nie było już żadnych nieporozumień, szwagrowie przywieźli mego dziadka do wsi, gdzie mieszkała moja babka i we czwórkę wyruszyli dorożką w drogę do kościoła, przed którym czekała już jedna i druga rodzina. Ledwie wyjechali ze wsi, zaczęło lać jak z cebra i trzeba było na gwałt podnieść budę na dorożce. Woźnica popędzał konia, jak mógł, ale wszystkim się zaczęło wydawać, że dorożka jedzie coraz wolniej. Wkrótce nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że dorożka wlecze się noga za nogą, wreszcie stanęła zupełnie. I wtedy nastąpiła rzecz, której moja babka nigdy by się nie spodziewała, o której nigdy nie słyszała ani nie czytała, choć przeczytała więcej książek, niż ktokolwiek mógłby przypuścić: koń wiozący ją na ślub postął chwilę, potem położył się na bok i najzwyczajniej w świecie zdechł.

Moja żona zamilkła i słysząc było tylko gęsty szmer deszczu bijącego o dach i szyby leśniczówki, o liście drzew, o budę dorożki, pelerynę fiakra i ślubną suknię panny młodej, jakby już nigdy nie miał przestać padać.

— Wtedy — podjęła znów moja żona — dla żadnego ze szwagrów nie ulegało żadnej wątpliwości, że wszelkie znaki na niebie i ziemi, siły przyrody i prawa ludzkie skrzyknęły się, żeby nie dopuścić do ślubu mojej baki. Byli to ludzie rozważni, umiejący odczytywać z wydarzeń ich ukryty sens, toteż bez ogródek powiedzieli mojej babce, co o tym myślą. Mój dziadek był tak speszony, że gotów był się z nimi zgodzić. Ale moja babka była zupełnie innego zdania. Za żadne skarby świata nie chciała wkładać po raz trzeci w życiu ślubnej sukni i białego welonu i postanowiła wziąć swoje losy we własne ręce, stawiając czoła prawom, wynikającym z układów społecznych, a także siłom przyrody, układom planet i gwiazd, a nawet żywiołom. Tonem, którego nauczyła się w szkole, nakazała memu dziadkowi i obu szwagrom wysiąść z dorożki, po czym wysiadła sama i w ślubnej sukni i w białym welonie poszła, zapadając się w błocie, do odległego o dwie wiorsty kościoła, w deszczu, jakiego najstarsi ludzie, nie pamiętali.

Moja żona milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

— Kobiety bardziej niż mężczyźni podatne są na wpływy przyrody, pogód, i niepogód, księżycy i gwiazd. Bardziej też liczyć się muszą z obyczajem. Ale dlatego właśnie najchętniej słuchamy własnego serca. Wszyscy znowu popatrzyli w okno. Duże, ciężkie, gęste krople zupełnie zamazywały widok. Nie widać już było ani lasu, ani drzew, ani drogi.

Już dawno nie było takiego deszczu.

CUKIERKI

No i co słyhać? — zapytała moja żona, kiedy wróciłem z biura i gotowałem się właśnie do przeczytania gazety, w której zainteresował mnie pewien tytuł, więc chciałem koniecznie zapoznać się z tym, co było pod nim.

— Nic — odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo tego dnia rzeczywiście nic nie było słyhać.

— No właśnie — powiedziała moja żona. — Można by z tego wywnioskować, że w twoim biurze nigdy nic się nie dzieje, choć podobno zajmujesz się poważnymi sprawami, podczas gdy w domu zdarza się zawsze bardzo wiele i dzieje się niezmiernie dużo. Najlepszy dowód, że ty nigdy nie masz nic do powiedzenia, a ja mogę opowiadać godzinami o tym, co się wydarzyło, kiedy cię nie było w domu.

— Człowiek nie powinien zajmować się drobiazgami — odparłem — bo nigdy do niczego nie dojdzie.

Rozłożyłem gazetę, żeby przeczytać ten artykuł, ale wtedy moja żona powiedziała:

— Z tego, co mówisz, wynika, że uważasz sprawy domu za drobnostki, którymi nie warto się zajmować. Widzę, że będę musiała wybić ci to z głowy.

Nikt nie lubi, kiedy mu się coś wybija z głowy, i ja też tego nie lubię. Ale ponieważ nieładnie jest czytać, kiedy ktoś się do nas zwraca, więc złożyłem z

powrotem gazetę. Zrobiłem to jednak w ten sposób, żeby interesujący mnie tytuł był widoczny i żebym mógł nie tracić go z pola widzenia.

— Niczego takiego nie powiedziałem — odrzekłem.

— Teraz się wypierasz — powiedziała moja żona — ale wszyscy dobrze słyszeli.

— Co za wszyscy? — zapytałem. — Nie ma tu nikogo poza tobą i mną.

— Są jeszcze ściany, które, jak wiadomo, mają uszy i w razie potrzeby zaświadczą — powiedziała moja żona.

Popatrzyłem po ścianach i przypomniałem sobie, że chyba rzeczywiście mają uszy, bo już nieraz świadczyły w podobnych okolicznościach.

— A widzisz — powiedziała moja żona. — A wracając do rzeczy, chcę ci powiedzieć, że życie składa się z drobiazgów, którymi można się nie przejmować, ale którymi trzeba się zajmować. One to bowiem są najczęściej powodem zarówno irytacji, jak i zadowolenia. A ty chciałbyś zajmować się tylko poważnymi sprawami, o których zresztą nie masz nigdy nic do powiedzenia.

Zerknąłem na tytuł w gazecie, zwiastujący niezmiernie ciekawy artykuł, ale bez okularów na nosie nie mógłbym i tak odczytać ani jednego wiersza.

— Może i mam — odparłem. — Tylko że jestem jakiś zmęczony.

— Czym!?! — zawołała moja żona. — Przecież w domu ja się wszystkim zajmuję, a ty chodzisz tylko do biura. Ciekawa jestem, czy choć kupiłeś cukierki, jak prosiłam?

— Zapomniałem — wyznałem i zrobiło mi się głupio.

— Wiesz przecież — powiedziała moja żona — że przychodzi pani Fela z Jasiem i że Jaś lubi cukierki.

— To raz się obejdzie bez cukierków — zaproponowałem. — Cukierki nie są wcale takie wskazane, psują dzieciom zęby.

— Może i masz rację — powiedziała zupełnie nieoczekiwanie moja żona. — Jasio pewnie obyłby się bez cukierków i być może szkodzą mu one na zęby. Ale te cukierki bardziej potrzebne są mnie niż jemu.

— O ile wiem, nigdy nie jadasz cukierków — zdziwiłem się.

— Nie — odpowiedziała moja żona. — Nasi chłopcy też ich już od dawna nie jadają. Ale kiedyś...

Moja żona popatrzyła na mnie jakoś dziwnie i zdawało mi się, że westchnęła leciutko.

Widzisz — powiedziała — czasem z bardzo drobnymi sprawami wiążą się bardzo duże przeżycia. Ja mam z cukierkami swoje osobiste porachunki. Nigdy ci o tym nie opowiadałam, ale skoro mnie do tego zmuszasz...

Zerknąłem znowu na ten tytuł w gazecie, ale zachowałem się przyzwoicie i powiedziałem, że bardzo rad bym usłyszeć o dużych przeżyciach i osobistych

porachunkach, jakie moja żona wiąże i ma ze sprawami tak drobnymi jak cukierki, co jednak w żadnym wypadku nie oznacza, że ją do czegokolwiek zmuszam.

Moja żona westchnęła znowu leciutko, po czym opowiedziała, co następuje:

— Pamiętasz tę zimę w czasie okupacji, kiedy leżałeś w szpitalu? Aduś miał wtedy dwa latka i zabierałam go już ze sobą, ilekroć miałam coś do załatwienia w pobliżu. Kiedy musiałam udać się gdzieś dalej albo wyjść na dłużej, stawiałam go obok dużego krzesła i kazałam mu się mocno trzymać obiema rączkami tak długo, aż wrócę. Kiedy wracałam, stał zawsze tam, gdzie go zostawiłam, i trzymał się krzesła. Nie było innej rady, bałam się, że mógłby sobie coś zrobić, gdybym mu pozwoliła biegać po mieszkaniu, kiedy nie było mnie w domu.

— Pamiętasz ten biedniutki targ, te wojenne "Koszyki" na pobliskim placu? Zawsze zabierałam tam ze sobą dziecko i pozwalałam mu wkładać do koszyka zakupioną kapustę albo marchew. Widziałam, że bardzo to lubi i że funkcje, jakie mu powierzam na zakupach, wyrabiają w nim poczucie użyteczności własnej osoby. Wzruszało mnie, kiedy malutkimi, zziębniętymi rączkami usiłował wpakować mi do torby dużą główkę kapusty. Brał swoją rolę bardzo na serio i nigdy mi nie sprawił najmniejszego kłopotu.

— Ale pewnego razu, kiedy kupiłam już trochę jarzyn i kaszy za ostatnie pieniądze i kiedy nie miałam już ani grosika, wydarzyło się coś niezwykłego:

zobaczyliśmy malutki straganik, którego tam nigdy przedtem nie było, a na tym straganiku duży, wiklinowy kosz, pełen cukierków. Były to piękne cukierki, każdy zawinięty w błyszczący albo kolorowy papierek, być może pojawiły się tam dlatego, że zbliżały się święta, a może ta blada kobieta, stojąca za koszem, nie była wcale zwykłą przekupką, tylko dobrą wróżką z bajki, która przyszła na targ, żeby rozdzielić kolorowe cukierki między wszystkie wojenne dzieci? Na wszelki wypadek zapytałam:

"Po czemu te cukierki?"

"Po złotówce."

To nie była żadna wróżka, a ja nie miałam nawet złotówki na jednego, jedyne go cukierka.

"Chodźmy, synku — powiedziałam. — Mamusia nie ma już pieniędzy."

— I wtedy stało się coś, czego bym się nigdy nie spodziewała. Dziecko wyrwało mi się, rzuciło do kosza i zanurzyło w cukierkach obie rączki. Kiedy je wyjęło, spomiędzy wszystkich paluszków wystawały mu błyszczące albo kolorowe papierki. Zaciskało na nich piastki z całej siły, jakby chciało dać do zrozumienia, że są jego, że nie odda ich nikomu i że nikt nie będzie mógł mu ich odebrać. Popatrzyło na mnie i to, co zobaczyłam w jego oczach, nie da się opisać: było w nich takie pragnienie, taka prośba, taka nadzieja i takie zdecydowanie, że serce mi się ścisnęło.

Podbiegłam i zaczęłam wydzierać mu spomiędzy paluszków cukierki, zawinięte w błyszczące i kolorowe

papierki. Nie przychodziło mi to łatwo, bo dziecko ciągle zaciskało na nich piąstki z całej siły. Przekupka patrzyła, nieco zaniepokojona, jak wrzucałam cukierek za cukierkiem do wiklinowego kosza. Nie odezwała się ani słowem i najwyraźniej w świecie jej też było przykro. Aduś zaczął wrzeszczeć jak nieboskie stworzenie, ale kiedy już tylko w jednej piąstce został mu ostatni cukierek, kiedy już tylko jeden kolorowy papierek wystawał spomiędzy zziębniętych paluszków, przestał się drzeć, tylko popatrzył na mnie poważnie. Wyrwałam mu i ten ostatni cukierek i wrzuciłam do kosza.

"Przepraszam za dziecko" — powiedziałam do przekupki.

— Odwróciła głowę. Cóż mogła innego uczynić? Pewnie ze sprzedaży z trudem zdobytych cukierków wyżywić musiała kupę dzieci, jeszcze biedniejszych niż moje. Czułam, jak na policzkach zamarzają mi łzy żalu, wstydu, upokorzenia. Porwałam dziecko na ręce i zaczęłam biec.

Moja żona umilkła, a ja nie przerywałam jej milczenia. Złożyłam gazetę byle jak i odłożyłam ją daleko. Teraz już nawet tego tytułu nie mógłbym dojrzeć. A te cukierki, których zapomniałem kupić, nie wydawały mi się już wcale takie mało ważne.

POZEGNANIE

Nasz najstarszy syn wyjechał na jakiś czas i wiedzieliśmy, że będzie nam bez niego trochę smutno. Toteż wieczorem przy stole każde z nas milczało sobie na boczku i nawet obaj młodszy chłopcy nie wszczynali rozmów o samochodach, jak to zwykle robią.

Moja żona zwalcza nade wszystko głośnie chlipanie herbaty, toteż wszyscy byliśmy bardzo zdziwieni słysząc, że z jej kąta dolatuje chlipanie, nie wiadomo, herbaty czy czego.

— E, bo — powiedziała moja żona trzymając w ręku chusteczkę — nie lubię, kiedy który z was wyjeżdża za góry, za rzeki. Kiedy się już ma dzieci, toby się chciało, żeby były gdzieś niedaleko i żeby można na nie popatrzeć od czasu do czasu. Żadna rozsądna matka niczego się po nich więcej nie spodziewa, ale ma chyba do tego prawo, żeby raz na jakiś czas popatrzeć na swoje dziecko.

— Nie ma tak znowu na co patrzeć — powiedziałem zgodnie ze swoim najświętszym przekonaniem.

Moja żona obrzuciła mnie spojrzeniem.

— A ty nawet nic nie mów — powiedziała. — Do końca życia nie zapomnę, jaką miałeś minę, kiedy zobaczyłeś każdego z nich po raz pierwszy.

— Jakaż to minę miałem? — zapytałem z godnością.

— Żeby nie wiem jak chciała, nie mogłabym nazwać jej mądrą — powiedziała moja żona.

Spojrzałem na chłopców, ale po nich widać było od razu, że są dość dorośli, by rozumieć, iż w podobnych okolicznościach nie można mieć mądrej miny, bo nie ma po temu najmniejszego powodu.

— Nigdy nie widziałam — powiedziała moja żona — żeby kobieta miała niemądrą minę przy różnych ważnych wydarzeniach życiowych, na przykład takich jak ślub. Uśmiecha się wtedy albo popłacze, jest wzruszona lub po prostu ładnie wygląda, co jest najnormalniejszą rzeczą w świecie. Aż przykro patrzeć, jakie w podobnych okolicznościach miny mają mężczyźni. Nieadekwatne, nie a propos, nie przystające do tego, co się właśnie dzieje. Nie chciałabym wyciągać z tego jakichś uogólniających wniosków, ale one się same nasuwają.

Żaden z nas nic nie powiedział, bo nikt nie lubi wniosków, które się same na jego niekorzyść nasuwają. Na szczęście, mężczyźni są w takich sytuacjach dosyć solidarni, i to bez względu na różnice wieku. Również na całe szczęście, kobiety działają w pojedynkę, bo gdyby i one zdobyły się na solidarność, to wtedy musiałby nastąpić prawdziwy koniec świata.

Właśnie rozmyślałem sobie o tym przyjemnie, kiedy moja żona powiedziała:

— Czuję przez skórę, że chodzą wam po głowach zgubne myśli. Wystarczy na chwilę spuścić was z oka albo przestać do was mówić, a zaraz macie skojarzenia,

które mogą was zaprowadzić nie wiadomo dokąd. Nie myślcie sobie, że nie wiem, co sobie myślicie.

— My nic sobie nie myślimy — powiedzieli nasi synowie.

Moja żona spojrzała na nich z wdzięcznością, westchnęła leciutko i rzekła tak:

— Zawsze mnie rozstrajają odjazdy, rozstania, pożegnania. Z tyloma rzeczami, miejscami, osobami przychodziło mi się już pożegnać, na krótko, na długo albo na zawsze, że właściwie nie powinno to już robić na mnie takiego wrażenia. Może więc do pożegnań i rozstań nie można się w ogóle przyzwyczaić? Może to one stanowią najbardziej rozdzierającą stronę życia? Ciągłe się z czymś rozstajemy, ciągle coś żegnamy i to nie tylko przy okazji odjazdów i odejść, ale także wtedy, kiedy żegnamy coś w sobie, jakiś okres, jakiś etap, jakąś część nas samych. A co najdziwniejsze, mam czasem wrażenie, że z nikim i z niczym tak naprawdę się nie rozstajemy, że nikogo i niczego tak na dobre nie żegnamy, że unosimy ze sobą na zawsze ukochane przedmioty, miejsca i twarze, że będą one z nami i nic nas już z nimi nie rozdzieli. Często opowiadałam wam o ludziach i zdarzeniach istniejących już tylko dlatego, że o nich pamiętam. Pamiętajcie i wy o nich, jeśli chcecie przedłużyć ich istnienie.

Moja żona umilkła na chwilę, a my zobaczyliśmy znowu ludzi i wydarzenia, o których lubi opowiadać i

które defilowały przed nami, jakby nigdy nie pochłonał ich czas.

— Byłam jeszcze całkiem małą dziewczynką — ciągnęła dalej moja żona — kiedy zrozumiałam po raz pierwszy, że pożegnać można nie tylko kogoś, kto odjeżdża albo odchodzi, ale coś bardzo nieokreślonego, co ani nie odjeżdża, ani nie odchodzi, a tylko się kończy. Jest to krótka historia i kiedyś chętnie ją wam opowiem, ale teraz lepiej będzie, jeśli pomożecie mi zebrać ze stołu.

Wtedy okazało się, że nie mogło być mowy o zbieraniu ze stołu, bo nasi synowie chcieli koniecznie usłyszeć krótką historię zaraz, a nie innym razem.

Więc nalaliśmy sobie jeszcze herbaty i moja żona opowiedziała, co następuje:

— W domu u moich rodziców była gosposia. Przyzwyczajiliśmy się uważać ją za kogoś, kto nam się należy, kto jest nasz, kto zawsze był i zawsze będzie. Nie mogłam sobie wyobrazić domu bez widoku jej długiego fartuszka w paski, a ponieważ dla każdego dziecka dom jest całym światem, nie wyobrażałam sobie świata bez naszej gosposi. Była to bardzo dobra gosposia, taka jakich dziś już nie ma, a jeśli jeszcze są, to gdzieś bardzo daleko. A co najdziwniejsze, nie było jej na co dzień prawie wcale widać, ale kiedy nie było jej z takich czy innych powodów przez dzień lub dwa, dawało się to natychmiast zauważyć. Powoli dochodziłam do wniosku, że ona jedyna w domu coś robi, a my wszyscy jesteśmy zwykłymi darmozjadami.

Zawsze miała ręce pełne roboty, nawet wówczas, kiedy się wydawało, że już nic nie ma do zrobienia. Pierwsza była na nogach i ostatnia się kładła i nikt nigdy nie widział, żeby wypoczywała.

— Ale przyszła wreszcie pora, kiedy i ona zapragnęła odpocząć. Odchodziła od nas po wielu, wielu latach, wracała do rodzinnego domu, zadowolona, że mogła zaokrąglić gospodarstwo o parę morgów pola za pieniądze zarobione na służbie. Właściwie nie żegnała się, może zaledwie rozstawała, bo przecież miała mieszkać niedaleko, miała nas odwiedzać, kiedy tylko zechce, i my mieliśmy zachodzić do niej przy okazji. Więc tak naprawdę nie było to nawet rozstanie, tylko zmiana warunków, w jakich mieliśmy się nadal widywać. Przystawała u nas pracować i tyle. Toteż nie było właściwie żadnego pożegnania, przeprowadzka odbywała się wśród śmiechów i wzajemnych życzeń, nie było powodu ani do smutku, ani do płaczu.

— Kiedy wszystko było już spakowane i załadowane na wóz, nasza gospośka wstąpiła jeszcze do kuchni, żeby powiesić na gwoździu fartuszek. Wśliznęłam się za nią, niezauważona. Gospośka odwiązała fartuszek i powiesiła go na gwoździu za drzwiami. Potem patrzyła na niego długą chwilę. Nie wiedziałam, co w nim takiego widzi, znała go przecież dobrze, to był zwyczajny fartuszek w paski, który zawsze nosiła, ten sam co zawsze. A jednak ona patrzyła na ten nic w sobie niezwykłego nie mający

fartuszek, jakby go dopiero po raz pierwszy zobaczyła. Po czym z wolna wyciągnęła rękę i pogłaskała fartuszek w paski, a potem przytuliła do niego na chwilę twarz i dopiero wtedy zobaczyłam, że po policzkach płyną jej duże, gorące łzy.

— Stałam jak wryta i patrzyłam, nie wierząc własnym oczom. Nie mogłam pojąć, dlaczego gosposia żegna się z płaczem ze swoim starym, nic niewartym fartuszkiem w paski, skoro przecież nie było żadnego powodu ani do pożegnań, ani do płaczu. Pomyślałam, że może żal jej zostawić ten fartuszek, że może chciałaby go sobie wziąć, i pobiegłam do mamusi, żeby jej to powiedzieć.

— Mamusia wysłuchała mnie uważnie i pogłaskała po głowie nie mówiąc nic, uśmiechając się tylko takim uśmiechem, od którego robi się smutno. Dopiero później, znacznie później zrozumiałam, że gdyby nawet podarowała ten fartuszek naszej gosposi, to i tak niczego by to nie zmieniło i w niczym, ale to w niczym nie pomogło.

Moja żona skończyła opowiadać i przez chwilę panowała cisza, w której obrazy przez nią wywołane odchodziły z powrotem w przeszłość.

— Powiadają — odezwała się jeszcze — że nie ma takiego towarzystwa, które kiedyś nie musiałyby się rozstać. Czy nam się to podoba, czy nie, tak właśnie jest i trzeba się z tym pogodzić.

Podniosła rękę, w której ciągle trzymała chusteczkę, takim ruchem, jaki się robi, kiedy się stoi

na peronie i kiedy pociąg już odjeżdża. Ale nikt z nas nigdzie się nie wybierał, więc nie rozumiałem zupełnie, dlaczego moja żona powiewa chusteczką.